

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

N^o 440

Teodor Jeske-Choiński.

Małżeństwo ≡
≡ jakich wiele.

STUDJUM POWIEŚCIOWE.



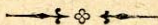
Cena 40 kop.
W prenum. 30^{1/2} k.

WARSZAWA
Redakcyja i Administracyja
14. Warecka 14.

—
1906.

MALŻEŃSTWO JAKICH WIELE.

Teodor Jeske-Choiński.



96

MAŁŻEŃSTWO JARICH WIELE

STUDYUM POWIEŚCIOWE.



79507

WARSZAWA
DRUK A. T. JEZERSKIEGO NOWY-ŚWIAT 47.
1906



253058

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0104246

W-122/2000

I.

Poznali się w Rzymie.

On stał na Monte Pincio i ssał zachwyconymi oczyma lśniący krajobraz, rozesłany u jego stóp w dolinie Tybru, otoczonej wzgórzami.

Właśnie oznajmił wystrzał armatni południe. Wielkie dzwony kościołów rzymskich odezwały się wolno, poważnie—zamilkły po trzech uderzeniach—potem rozśpiewał się ruchliwy ludźmi mniejszych dzwonów, świergocąc wesoło, jak gromada ptactwa, uradowanego dniem pogodnym.

Na błękitnym niebie jarzyło się słońce płomienne, oslepiające, jak gdyby blaski i barwy wiosny umalowały ziemię Italów. Lśniło morze płaskich dachów w jego promieniach, z krzyżów na wieżach kościelnych tryskały złote iskry, powietrze drgało, jak w żarach lata.

On stał i dziwił się promiennej aureoli słońca i zielonym bukom i pomarańczom, złocącym się na drzewach w ogrodach i świeżym kwiatom, rozwieszonym na tarasowych schodach placu hiszpańskiego.

Przybył z kraju, w którym ziemia w tej chwili (grudzień był) odpoczywała po znojnym trudzie wiosny i lata pod puchami śniegu, bezlistne drzewa

6
stały oswiałe, smutne, a słońce zgasło, zalane
bezkresną falą szarych, gęstych mroków zim. Prze-
to dziwiły go te blaski i barwy pełnego życia.

Przybył do Włoch, aby zmienić wrażenia, aby
odświeżyć duszę, wędnącą w jarzmie walki o byt.
Znudziły go polowania, wizyty, zabawy taneczne,
winty u sąsiadów, dyspozycje, wydawane rządcy,
targi z Żydem o ceny zboża, spory z chłopem o ser-
wituty.

Przez lat dwadzieścia gonił za mamoną z wy-
trwałością skąpca, z chciwością dorabiającego się
kupca, odmawiając sobie wszystkich przyjemności
człowieka wyższej kultury. Całym jego zbytkiem
była dobra książka.

Teraz, spłaciwszy długi, odziedziczone po oj-
cu, oczyściwszy majątek rodzinny z ciężarów, uczuł
potrzebę urwania się na kilka miesięcy z łańcucha
interesów, trosk i zabiegów powszednich. Chciał
być swobodnym, jak niegdyś, jak w latach chłopię-
cych, kiedy otoczony opieką rodziców, żył jedynie
dla siebie, dla zabawy dziecięcej, a tak wolnym mo-
żna być tylko w podróży. Nikt nie zapyta cię o pasz-
port, o stanowisko, jakie zajmujesz w swoim kraju,
bylebyś zapłacił rachunki hotelowe i nie naraził
się policyi.

Przez kilka tygodni pluskał się w swobodzie
z radością mieszczucha, używającego wakacji na
wsi, zwiedzał kościoły, muzea, galerie obrazów, tea-
try, teatrzyki, gapił się na wszystko i na wszyst-
kich; — jadł, pił zmieniające się ciągle wrażenia
z apetytem spragnionego, łaknącego. Bawiło go, że
ruszał się w tłumie różnojęzycznym, dziś tu, jutro
tam, temu tłumowi zgola obcy, że był niezależnym
od nikogo, nie troszczącym się o nikogo widzem,
obserwatorem, który korzystał ze wszystkich wygód
i przyjemności cywilizacji, nie biorąc żadnego
udziału w pracowitej krzątaniu, jaka dokoła niego
wrzała.

Wszystko dla niego, za niego robiono. On nie

7
zgiął palca dla nikogo. Wyręczali go: frank, lir,
gulden, marka.

Ale tylko kilka tygodni.

Co go w pierwszej chwili bawiło, cieszyło, za-
częło go pod koniec drugiego miesiąca nużyć. Ten
cały różnojęzyczny gwar dworców, kolei, hotelów, re-
stauracyi, przestał go zajmować. Obrzydły mu nieu-
stanne targi z całym otoczeniem. Ktokolwiek się
do niego zbliżył, wyciągał chciwą rękę, wołając:
„Dawaj, płac!” a każdy chciał go wyzyskać, wyłu-
dzić z niego jaknajwięcej. Zrozumiał, że miał w po-
śród obcych tylko o tyle prawo oddychać, żyć, o ile
mu na to jego portfel pozwalał. W razie, gdyby
zgubił pieniądze, stawał się równym ostatniemu nę-
dzarzowi ulicy.

Chłodny wiew przykrej pustki szedł teraz za
nim od miasta do miasta. Uczucie samotności wśród
najliczniejszego tłumu wzbudziło w nim tęsknotę za
dźwiękami własnej mowy i za ciepłem własnego do-
mu. Ani się spostrzegł, kiedy łańcuch trosk, inte-
resów i zabiegów powszednich, z którego urwał się
z taką radością, zaczął się do niego zbliżać, po-
brzękując z cicha wiadomościami z kraju. Z wiel-
ką przyjemnością odczytał dziś listy rządcy i fakto-
ra, które go przed miesiącem niecierpliwiły.

W blaskach słonecznych lśnił, błyszczał pod
jego stopami Rzym, najdumniejszy, najdrapieżniej-
szy orzeł ludzkości, który stworzył cnotę obywatel-
ską, narzucił całemu światu swoje prawa i ssał
przez szereg wieków krew i złoto Europy, Azji
i Afryki, a jego myśli nie szukały w morzu domów,
kościółów, pałaców, obelisków, kolumn, ruin pre-
sławnych pamiątek w wielkiej przeszłości. Szybowa-
ły one na chyżych skrzydłach tęsknoty daleko, na
północ, gdzie pola, łąki i lasy odpoczywały pod
śniegową pościelą, gdzie zima zatarła, zgasiała
wszystkie barwy i blaski życia.

Kiedy tak stał, oderwany od otoczenia, do-
znał nagle uczucia wędrowca, błądzącego na pusty-

ni, na którego ktoś blizki, drogi zawołał. Tuż obok niego przeszły dwie panie i rozmawiały z sobą po polsku.

Ona, młodsza, słusznego wzrostu, dobrze zbudowana, dwudziestokilkoletnia, ubrana w szary kostium podróży, w popielatem, puszystem boa na szyi, czytała w *Bedekerze* i objaśniała starszą, otyłą damę, kołyszącą się na krótkich nogach, jak kaczką.

— Tam, na prawo, ta ciężka, szara masa murów, to Watykan, a ta kopuła obok, to bazylika św. Piotra—mówiła ona.

Ani w tem, co mówiła, ani w jej świeżym, dźwięcznym głosie młodej, zdrowej kobiety nie było nic nadzwyczajnego, a on słuchał jak oczarowany. Tak dawno nie słyszał dźwięków swojej mowy.

— A tuż pod nami, na lewo, ten wysoki obelisk to Piazza del Popolo. Proszę, niech mama spojrzy. Warto.

Mama podniosła do niegdyś niebieskich, a obecnie wypłowiałych oczu bez wyraźnego koloru szkła oprawione w szyldkret i patrzyła.

Wiedział już, że to matka z córką i że były w podróży tak samo, jak on.

Teśknota pchała go do nieznanym pań, i zdawało mu się, że jest im blizki, że powinien im ofiarować swoje usługi, być ich przewodnikiem, obrońcą w razie potrzeby.

Już dotykał ręką kapelusza, kiedy go musnął wzrok córki. Odwracając się w jego stronę, spojrziała na niego przelotnie, chłodno, tak, jak się patrzy na latarnię, na słup, na drzewo obojętne. Spojrzenie to wróciło mu przytomność. Może sobie te panie nie życzą znajomości podróży? Tyle przeróżnej międzynarodowej hałastry włóczy się za granicą...

Gdyby jej wzrok był spoczął dłużej na jego twarzy, byłby był zauważył niewątpliwie w jego oczach błyski zachwyty.

Nie było w niej nic takiego, co by mogło wzbudzić zachwyty. Takich zdrowych, hoźych, białych blondynek, zbudowanych doskonale, ruszających się z wdziękiem młodości i starannego wychowania, widział dużo w kraju po wiejskich dworach i nie zwracał na nie uwagi. Ale tu w Rzymie nie przystojną, młodą kobietę widział, lecz Polkę, którą spotkał po dwumiesięcznej samotności wśród obcych. Była ona kwiatem jego ziemi, żywym przypomnieniem, wcielonym echem wszystkiego, za czem tęsknił. Nieznana, stała się jego sercu blizką, jak gdyby ją znał od lat wielu.

Wolno oddalały się panie ku placowi Trinità dei Monti, a on szedł za niemi z gorącym pragnieniem, aby go szczęśliwy przypadek do nich zbliżył.

I los okazał się dla niego łaskawym.

Na placu Trinità dei Monti otaczała gromadka dzieci i dorosłych gapiów sztalugi malarskie. Dorożkarz zszedł z kozła, policjant odczepił się od rogu kamienicy, kucharka, wracająca z koszykiem z targu, przystanąła, modelka w barwnym stroju albańskim przypatrywała się z pod czoła okiem znawcy robocie artysty, który machał pendzlem po płótnie z taką swobodą, jak gdyby był sam w swojej pracowni.

I panie zatrzymały się przed sztalugami. Lecząc zaledwie starsza z nich spojrziała na malarza, kiedy zawołała zdziwiona po polsku:

— Hrabia w Rzymie? Maluje?

Malarz podniósł się ze składanego krzesła i, witając się z paniami, odezwał się:

— W tym kraju grajków i pędlarzy musi się każdy, kto tu mieszka dłużej, zająć jakąś sztuką. Bardzo mi przyjemnie spotkać na obcej ziemi dawne a bardzo miłe sąsiadki.

A obrzuciwszy hożą postać młodszej wzrokiem przyjaznym, mówił:

— Od panny Wandy wieje technienie naszych

pól, rozkołysanych dojrzewającym zbożem, i żywiczny, słodki oddech naszych borów sosnowych. Powinnować mamie tak ślicznej córeczki.

Lekki rumieniec dziewczęcego zawstydzenia okraśli policzki panny, kiedy dziękowała za słowa uprzejme zdawkowym frezesem.

— Pan hrabia zawsze na mnie taki łaskaw.

W piersi Polaka, który skradał się za Polkami, trzepotało się serce z radości, bo malujący hrabia był jego przyjacielem jeszcze z czasów szkolnych. Szybko zbliżył się...

— Ty w Rzymie, Edmundzie? — zawołał hrabia, witając się bardzo serdecznie z towarzyszem lat chłopięcych. — I nie wierzyć snom... Śniły mi się dziś prześliczne, czerwone kwiaty. Zbierałem je całemi garściami. Mój służący, bardzo uczony w senniku egipskim, zapewnił mnie, że spotka mnie jakieś szczęście. I spotkało mnie wistocie szczęście niezwykłe. Już mi nostalgia zaczyna znów dokucać. Teraz użyję sobie towarzystwa swoich, blizkich. Panie pozwolą, że przedstawię im mojego przyjaciela. Pan Edmund Multanowski!

Panna dygnęła, mama schyliła głowę niedbale, protekcyjnie, mierząc obcego spojrzeniem podejrzliwym. Za granicą trzeba być ostrożnym w zawieraniu nowych znajomości. „Niewiadomo nigdy, kto się ukrywa pod maską dobrze skrojonych sukien i gładkich form” — pomyślała.

Okiem niechętnem patrzyła, jak pan Multanowski, pochyliwszy się nad płótnem hrabiego, razem z jej córką, dotykał prawie ramieniem ramienia dziewczyny.

Szeptem zapytała hrabiego:

— Z których to Multanowskich jest ten pan?

— Z tych dobrych — odrzekł hrabia z zaledwie dostrzegalnym uśmiechem ironicznym, — czyli po naszymu mówiąc, z tych, którzy mają jeszcze pieniądze.

— Czy nie syn pana Kazimierza?

— Kazimierz było na imię jego ojcu.

— O ile mi wiadomo, zostawił pan Kazimierz Multanowski majątek swój mocno zadłużony. Prawie tyle, co nic.

— Było tak w istocie, ale co ojciec zaszargał, to oczyścił syn i jest znów pełnym właścicielem majątku rodzinnego.

— Taaak... — rzekła mama i wyraz jej twarzy zmienił się odrazu z chłodno ostrożnego w słodkawo uprzejmy.

— Kiedy nas szczęśliwy zbieg okoliczności sprowadził razem na obcej ziemi, może panowie zechcą wypić dziś z nami filiżankę herbaty — zapraszała. — Mieszkamy tuż obok, w pensjonacie francuskim „Lavigne.” Tylko proszę bez żadnych ceremonii, bez wizyt etykietalnych. Za granicą, w podróży to niepotrzebne. Jesteśmy wszyscy na wakacjach. Oczekujemy dziś panów o godzinie ósmej.

Uśmiechnąwszy się bardzo słodko i pożegnawszy panów bardzo uprzejmym ukłonem, oddaliła się z córką.

— Może ci przeszkadzam? — odezwał się Multanowski.

— Tylko bez żadnych ceremonii, bez frazesów etykietalnych — odpowiedział hrabia, naśladując głos starszej pani — Dusza ci piszczy do polskich dźwięków, łyżką jadłbyś w tej chwili naszą mowę, którą w domu lekceważymy, jak się lekceważy strawę powszednią, a udajesz, że ci nie śpieszno do pogawędki ze mną. Nie wstydz się. I ja wiem, jak nostalgia denerwuje. Służę ci w tej chwili.

Skinąwszy na ładnego chłopca w stroju albańskim, powiedział coś do niego po włosku i wzięwszy przyjaciela pod ramię, zwrócił się w pierwszą boczną ulicę.

— Mieszkam ztąd o kilkadziesiąt kroków, na via Gregoriana. Ulica spokojna, zaciszna, nie do-

chodzi do niej łoskot miasta. Zjemy razem śniadanie i nagadamy się za całe... Dawno jesteś w drodze?

— Drugi miesiąc dobiega.

— Za całe dwa miesiące.

— Nie uwierzysz, Rodrygu, jak jestem wdzięczny losowi za to spotkanie.

— Wierzę bez zakłęb. I ja jestem ci szczerze rad.

Weszli do kamienicy, która robiła z zewnątrz wrażenie jakiegoś więzienia lub śpichlerza. Grube mury, małe okna, opatrzone na parterze kratami, żelazne drzwi, wązka sień, kamienna posadzka.

Hrabia Rodryg zajmował na parterze mieszkanie, złożone z trzech pokojów i kuchni. Kiedy wchodzili do przedpokoju, rzekł:

— Tylko nie zdejmuj paltota, bo Rzym jest dla nas, cudzoziemców, nieprzywlekłych do tutejszego klimatu, zdradliwy, jak wąż jadowity. Na ulicy słońce, a w mieszkaniu wilgotny chłód piwnicy. I pamiętaj ubierać się zawsze po zachodzie słońca ciepło. O uporczywą gripę tu nie trudno.

W pokojach było rzeczywiście chłodno, jak w Polsce w dżdżysty dzień jesienny.

— Zaraz przyjdzie mój Felice i roznieci ogień na kominku. Ale te włoskie piece, kominki, te ich sztuffy... Dopóki się ogień pali, ma się złudzenie ciepła, a gdy zgaśnie, znów zimno, jak w psiarni. Nic się nie zmieniłeś od czasu, kiedyśmy się rozstali. Zawsze ta sama energiczna twarz natury czynnej, świadomej celu, do którego zmierza. Tylko na skroniach przybyło ci trochę srebra minionej czerdzistki.

Byli obaj w równym wieku, obaj blondyni i wzrostu średniego, szczupli, smagli, obaj mieli suche, rzeźbione profile potomków starej kultury. Na pierwszy rzut oka poznał w nich każdy ludzi dobrego towarzystwa.

Pozornie do siebie podobni, różnili się jednak. Namiętna walka o byt, zażarty bój z wierzycielami, z Żydem, z chłopem, ze służbą, z robotnikiem, z tem całym otoczeniem obywatela ziemskiego, które nie rozumie, że tak zwany pan bywa często uboższym od swojego czeladnika, któremu się zdaje, że pana wolno okradać bez grzechu, bo posiada więcej od niego — życie czynne, ruchliwe, czujne, zwarło rysy Multanowskiego, zaostrozając ich kontury i nadało jego ruchom szorstką, żołnierską stanowczość.

Nie twardą drogą obrońcy gniazda rodzinnego szedł hrabia Rodryg Karski. Potomek jeszcze niedawno bardzo możnego, w czasach ostatnich podupadłego domu, stopił resztki swojego dziedzictwa na złoto i pędził gnuśny żywot rentiera. Posiadając za mało, aby mógł żyć w kraju odpowiednio do swoich koligacji, skazał się sam na dobrowolną banicję. Mieszkał za granicą, to we Francyi, to we Włoszech, to w Niemczech, zabawiając się trochę romansami, trochę sztuką i literaturą, jak mu właśnie wypadło. Dyletant we wszystkich kierunkach, nie przywiązywał się do żadnego zajęcia, zmieniał je ciągle, bo każde znudziło go po pewnym czasie. Znudziły go kobiety, znudziła literatura i sztuka, znudziło go zbieranie różnych starych rupieci bronzów, fragmentów zbroi, szkiców. Ta zniechęcona do wszystkiego nuda rozlała się na jego twarzy, przyćmiewając blask oczu, składając usta w grymas sceptyczny.

— Zazdrościłem ci zawsze twojej energii — odezwał się głosem tak obojętnym, jakgdyby go ta energia nic nie obchodziła.

— Niosła i podniecała mnie miłość gniazda rodzinnego — mówił Multanowski. — Myśl, że ten szmat ziemi, uznojony potem moich przodków, do stałby się (gdybym go wpuścił) w ręce jakiego niemieckiego kolonisty, zubożonego arendarza lub

niesumienego parcelanta, była mi bodźcem w walce z hydrą odziedziczonych długów.

— I zmołęś ową hydrę?

— Już mnie ta potworna bestya nie straszy, ale zmęczyłem się trochę w walce dwudziestoletniej. Chciałbym teraz odpocząć, pomyśleć o sobie, o szczęściu ludzkim.

— Ożenić się, być szczęśliwym papą?

— O czymże innym może marzyć taki przeciętny hreczkosiej, jak ja? Talentem w jakimkolwiek kierunku mnie los nie obdarzył. Umiejętność pracować i pilnować swojego mienia. Trzeba się postarać o dziedzica, któryby wziął po mnie owoc mojego życia.

— Trochę zapóźno w naszym wieku na młodego żonkosia. Czterdzieści cztery! Fatalna liczba. Zdaje się, że sobie tyle latek liczymy.

Multanowski wzruszył ramionami.

— Nie mogłem wcześniej pomyśleć o zbudowaniu własnego gniazda, nie miałem czasu. Może znajdzie się gdzie jaka panna, która nie wzgardzi marcowym kawalerem.

— O to niech cię głowa nie boli. Znajdzie się na twój majątek sto, dwieście, tysiąc amateerek. Młode dziewczątka wychodzą za bogatych, wzdłuż dziadów, a dziadami jeszcze nie jesteście. Ot np. ta pani Wolińska, którą dziś poznałeś, wyda za ciebie bez namysłu swoją córnię. Zrobiła się odrazu słodziuchna, jak obłuda, kiedy się ode mnie dowiedziała, że oczyściłeś swoją Różanę.

Przybył tymczasem Felice, ów ładny chłopczyzna w stroju albańskim, ze stalugami, paletą i płótnem, rozniecił ogień na kominku i zaczął nakrywać do stołu.

— Aczkolwiek mieszkam w pobliżu ogrodów najsłynniejszego w starożytności sybaryty, pogańskiej pamięci Luculla—mówił hrabia—nie lukuluszową uraczę cię biesiadą—dostaniesz *una bistecca con patate*, czyli bifszyk z kartofelkami i trochę

koniczyny, jak ja nazywam różne włoszczyzny, bo to jedyna potrawa, którą moja kucharka umie po ludzku przyrządzić.

Multanowski nie słuchał. Zapatrzonego w ogień, wydobywającego się na kominku z trudem z wilgotnego drzewa, przebiegał w myśli wszystkie panny swojej okolicy. Wszystkie przesuwały się kolejno przed zwierciadłem jego pamięci i ani na jednej nie zatrzymywała się jego myśl dłużej. Wracając ona uporczywie do panny Wandy Wolińskiej, której głos potrącił dziś o jego serce śpiewnem echem ze stron rodzinnych. Owiana jego tęsknotą za swoimi, wydała mu się hoża dziewczyna inną od wszystkich, które dotychczas w życiu spotykał, mniej skażoną zwykłymi wadami ludzkimi, szlachetniejszą, bielszą. A ten ładny rysunek zepsuły mu sceptyczne uwagi Kraskiego.

Wiedział, że w czterdziestym czwartym roku życia nie ma się już prawa do owego żywiołowego, z żadnymi przeszkodami nie liczącego się uczucia, które opromienia tylko pierwszą wiosną człowieka aureolą niesamolubnej ofiary, zbyt blisko i zbyt boleśnie ocierał się o rzeczywistość, o jej brutalny materializm, aby mógł wierzyć w trwałe szczęście małżeńskie w ubóstwie i dziwić się przeczności matek, szukających dla swoich córek dobrobytu, a mimo to obrażała go myśl, że mogłyby być pożądanym dla majątku, jaki wydarł dwudziestoletnią walką z drapieżnych szponów lichwy i nieuczciwości. Zdawało mu się, że po ciężkiej pracy całej, bezkwestnej młodości należał mu się wonny, odurzający kwiat miłości, jako nagroda wysłużona.

II.

Bardzo ładnie było pannie Wandzie w białej sukni z niebieską wstążką dokoła szyi i z niebieskim paskiem. Włożyła ją na żądanie matki. I na to samo żądanie kazała się fryzjerowi uczesać.

Stała w małym pokoiku hotelowym przed dużym zwierciadłem, odbywając ostatni przegląd tualety.

— Mama sądzi, że ten pan Multanowski byłby dla mnie odpowiednim mężem? — odezwała się.

— Dobrze nazwisko, ładny majątek, człowiek starannie wychowany, czegoż więcej może żądać panna z niewielkim posagiem? — odpowiedziała pani Wolińska, która dreptała dokoła córki z troskliwością kokoski, prowadzącej swoje pisklęta w świat, na pole.

Poprawiała jej fryzurę, obsuwała pasek niżej, obciągała fałdy spódnicy.

— Czy to wszystko, co zapewnia szczęście w małżeństwie, mamusiu?

— Wam, młodym, zawsze miłość w głowie, naturalnie. Gdy będziesz starszą, będziesz wiedziała, że przywiązanie znaczy w małżeństwie więcej od miłości, bo jest pewniejszą, trwalszą podstawą zgodnego pożycia. Miłość wypala się szybko, jak ogień słomiany, a przywiązanie grzeje zawsze, jak...

— Jak ciepłe pantofle, jak ciepły szlafrok, dziękuję za taką łaskę — wtrąciła panna. — Mój mąż musi mnie kochać, ot tak...

Objęła matkę w pół, okręciła wkoło i wyczołowała na wszystkie strony.

— Dajże pokój, pustaku — broniła się pani Wolińska, śmiewając się pozornie. — Tak mnie ładnie uczesałaś, a teraz wszystko na nic.

— Zaraz mamusię tak upiększę, że się hrabia Kraski w мамie na śmierć rozmiłuje. Proszę, niech matuchna siada.

Śmiały się obie.

— Odstępuję mamusi hrabiego — trzepała, panna Wanda, poprawiając rozwichrzone włosy matki. — On zawsze taki chłodny, obojętny na wszystko, w sam raz ciepły mąż z przywiązania.

— A tobie potrzeba ognistego, gorącego męża?

— Rozumie się. Chcę, żeby mnie płomienie oblewały, kiedy mnie pocałuje.

— Będą cię oblewały, będą.

Pani Wolińska śmiała się podwójnym podbródkiem i tłustym brzuchem. Wszystko się na niej trzęsło.

— O, ty dzieciuchu! Dwudziestą piątą wiosenkę zaczynasz, a swywołisz, jak małe bobo.

— To mamy wina. Dlaczego mnie matuchna tak rozpieściła.

— Bo byłaś nam w domu jedną, jedną — odpowiedziała pani Wolińska, przygarniając córkę do siebie.

Przez kilka chwil milczały. Czar miłości zamknął im usta i odjął ich myślom pustotę. Córka tuliła się do serca matki, matka gładziła ręką jasne włosy córki.

— A teraz — odezwała się pani Wolińska po dłuższej przerwie — usiądź obok mnie i pomówmy z sobą poważnie. Przyjemnie mi nie będzie, gdy cię mąż zabierze do swojego domu i oderwie od mojego serca, jako swoją własność, ale ten sam ból przechodziła moja matka, babka, prababka, i wszystkie zniosły go bez skargi dla szczęścia swoich córek. Bo szczęściem kobiety jest własne ognisko domowe i własne dziecko. I ty nie chciałabyś zostać starą panną.

— Niech Pan Bóg broni — potwierdziła żywo panna Wanda.

— Tymczasem idą lata bez litości. Ani się spostrzeżesz, kiedy przyjdzie trzydziestka i staro-

panieństwo stanie przed tobą z groźbą dozgonnej samotności. Ostatni czas dla ciebie, Wandeczko.

— Cóż ja temu winna, że mi się dotychczas nikt nie podobał i ja nie podobałam się naprawdę nikomu?—mówiła panna głosem cichym, jakby zawstydzona.—Ci, którzy się o mnie starali, zabiegali więcej o mój skromny posażek, niż o moje serce, a bez przekonania za mąż nie wyjdę.

— Czasy teraz ciężkie, moje dziecko. Nie można się dziwić, że się mężczyzna obawia brać na siebie całego ciężaru utrzymania domu, że szuka pomocy w posagu żony. W naszej zwłaszcza sferze, w naszych dworach szlacheckich grozzy się nie przelewa, o gotówkę trudno. Ale teraz nadarza się sposobność, jakiej może nie spotkasz po raz drugi w życiu. Za panem Multanowskim przemawia wszystko: majątek, dobre nazwisko, uczciwe gniazdo, wychowanie. I przystojny jest, i robi wrażenie młodzieńcze, mimo szpakowatych włosów, Jakoby stworzony dla ciebie. Staraj mu się podobać, Wandeczko.

Panna wzruszyła ramionami. Prawie z płaczem odrzekła:

— Kiedy ja nie umiem polować na męża, mamusi. Jeżeli on sobie mnie nie upodoba, ja go przynęcić nie potrafię.

— A jakże on się tobie wydaje? Czy mógłby ci się podobać?

— Widziałam go tak krótko, mówiłam, z nim tak mało. Ale wrażenie robi sympatyczne.

— To już dobrze — wyrzekła pani Wolińska z błyskami szczerzej radości w oczach.—Bardzo pragnęłabym cię widzieć pod opieką energicznego, rządnego męża. Umarłabym spokojnie.

— O, matuchno nie mów o śmierci.

W tej chwili wszedł służący hotelowy i oznajmił gości.

Jeszcze raz obrzuciła pani Wolińska szybkim

badawczem spojrzeniem toaletę córki, strzepnęła jakąś fałdkę zagiętą, przyglądziła jej włosy na skroniach i wyszła do sąsiedniego pokoju.

Z przesadną grzecznością matki, łowiącej zięcia, powitała Multanowskiego, co wywołało na usta hrabiego drwiący uśmieszek. Był to szybki, przelotny uśmieszek człowieka dobrego towarzystwa, który umie panować nad swoją mimiką, ale mimo to dostrzegła go panna Wanda i odgadłszy jego znaczenie, zarumieniła się za niezręczność matki.

— Nieboszczkę matkę pańską miałam zaszczyt znać — mówiła pani Wolińska do Multanowskiego, rozsiadłszy się na kanapce,—bywałyśmy niegdyś razem w świecie warszawskim. Zdaje mi się nawet, że jest między nami jakieś dalekie powinowactwo. Pani Multanowska, jeżeli się nie mylę, rodziła się z Poczobuttówny, jeden zaś z Wolińskich miał żonę z domu Poczobuttów.

— A prawda—odezwał się Kraski, zerknąwszy z boku na Multanowskiego. — Pan Adam Woliński ślubował temu lat sto pięćdziesiąt wiarę dozgonną pannie Ewie Poczobuttównie. Wyczytałam to w jakimś herbarzu.

Mówił to tak poważnie, jak gdyby opowiadał o fakcie prawdziwym. Tylko w kącikach jego ust uśmiechał się chochlik satyry.

Po raz drugi oblał pannę Wandę rumieniem zawstyżenia. Przenikliwe, drwiące spojrzenie hrabiego odjęło jej do tego stopnia swobodę ruchów, iż nie śmiała spojrzeć na Multanowskiego. Zdawało się jej, iż on zna zamiary matki, iż słyszał ich rozmowę i bada ją, jak się bada przedmiot, wystawiony na sprzedaż. Siedziała na foteliku z głową opuszczoną, przygryzając wargi. Drgnęła, kiedy usłyszała obok siebie głos Kraskiego, który się do niej ze swoim krzesłem przysunął.

— Zostawmy mamę i Multanowskiego w spleśniałych objęciach heraldyki — mówił Kraski, bawiąc się monoklem, a my porozmawiamy o czemś

zabawniejszem. Jakże się panie bawią w Rzymie?

Spojrzała na niego z wyrzutem. Spojrzenie jej mówiło: „Nie drwij ze mnie, nie posądzaj mnie niesłusznie, bo widzisz przecież, iż obcą mi jest sztuka łowienia męża”.

Odgadłszy znaczenie tego skarżącego się wzroku, rzekł Kraski głosem cieplejszym, niż zwykle.

— Lubię panią za to spojrzenie, panno Wando, jest ono bowiem najwymowniejszym świadectwem dobrego, jeszcze nikczemnością życia nieskażonego serduszka pani.

— Pan się ciągle bawi cudzym kosztem, panie hrabio.

— Tym razem nie. Jeżeli panią mój drwiący uśmiech i moja heraldyka od Adama i Ewy obraziły, przepraszam. Moje uśmiechy i spojrzenia nie będą pani więcej kłóły.

— Czy pan szczerze mówi?

— Proszę na mnie spojrzeć!

Tak życzliwie patrzyły na nią w tej chwili jego oczy, iż trudno było nie wierzyć w szczerłość jego mowy.

— Dziękuję panu, wyrzekła z cicha.

Pani Wolińska zagłębiła się tymczasem w gęsty las uczoności heraldycznej, w której była bardzo biegła. Znała ona dokładnie genealogie rodów szlacheckich swojej okolicy aż do dziada i pradziada. Jej rozwlekłych, nudnych wywodów, słuchał Multanowski przez grzeczność jednym uchem, rzucając co jakiś czas ostrożne spojrzenie, w stronę panny Wandy. W gustownej toalecie, w przyćmionem świetle lamp, na tle różowych, jedwabnych mebli była jeszcze przystojniejsza, niż w dzień, w szarej sukni podróżnej. Pociągał go jej szczerzy, otwarty wyraz twarzy, na której czytało się wszystkie wrażenia, jak w zwierciadle. Jeszcze jej nie znał, nie wiedział, jakie serce bije w jej bujnie rozwiniętym biuście zdrowej dziewczyny lat dwudziestu kilku, a już ją lubił. Chciałby się przysiąść do niej,

spojrzeć w jej oczy, ale nieznużone gadulstwo matki przykuwało go do krzesła. Uwolniła go służba hotelowa, która wniosła herbatę, ciasta i owoce.

— Pani pozwoli, że trochę pomogę — rzekł do panny Wandy, która zajęła się rozlewaniem herbaty.

I, nie zwracając uwagi na protest pani Wolińskiej, rad, że się pozbył nareszcie jej erudycyi heraldycznej brał z rąk panny filiżanki i rozstawiał je na małych stolczkach.

Teraz dopiero upatrzwszy chwilę, kiedy niosąc ostrożnie filiżankę, nie mógł zwracać na nią uwagi, obrzuciła go panna ciekawem spojrzeniem. Byłżeby to ten, którego jej los przeznaczył na dożgonnego towarzysza?

Przypatrzyła się ona już trochę rzeczywistości, wiedziała, że królewicze z bajki, stukający w świetnem otoczeniu liczego dworu do ubogich chat ubogich dziewczyn, aby je posadzić na tronach złocistych, żyją tylko w fantazyi poetów, że bogaci szukają bogatych, bo złoto ciągnie do złota. Doświadczenie panny dwudziestopięcioletniej, która przetańczyła nadaremnie kilka karnawałów, rozwiało urocze sny szesnastoletniego dziecka. Nie czekała już na królewicza, nie marzyła o blaskach tej ziemi, ale oddać ręki i duszy pierwszemu z brzegu konkurentowi, jedynie dlatego, aby nie zostać starą panną, nie chciała. Pragnęła męża swojego szanować.

Z wyteżoną uwagą gracza, który rzuca na kartę bardzo wysoką stawkę, śledziła krzątającego się Multanowskiego. Ale jego postać w ramach wykwińskiego stroju i dobrych form, mówiała jej tylko, że był przystojnym, dobrze wychowanym, obytym towarzysko i że miał ruchy młodzieńcze, mimo lat czterdziestu kilku. Podobnych do niego widziała wielu, którzy okazali się przy bliższem poznaniu zrami bez żadnej wartości.

Zajęli wszyscy miejsca; pili herbatę.

— Nie przypominam sobie, żebym spotkała pana kiedy na balach warszawskich — zwróciła się pani Wolińska do Multanowskiego.

— Nic w tem dziwnego, szanowna pani, nie karnawałowałem bowiem od lat dwudziestu — odpowiedział.

— Wolał tańczyć oberka z wierzycielami — zauważył Kraski.

— Możebym wolał inny rodzaj zabawy, ale nie mogłem inaczej. Wziąłem po ojcu hipotekę zamazaną od góry do dołu, budynki zrujnowane, inwentarz kulawy i dychawiczny, las przetrzebiony, pola zaniedbane. Zeby to wszystko wyprostować, wygładzić, załatać, trzeba było oszczędzać i pracować, a na wsi, jak państwu wiadomo, oszczędza i pracuje ten, kto siedzi w domu i pilnuje swego dobra.

Wielką ochotę miała pani Wolińska zapytać, czy wszystkim „wyprostował, wygładził, załatał”, powstrzymawszy jednak naturalną ciekawość matki, pragnącej dla córki dobrobytu, zadowolili się zdawkową pochwałą.

— Zeby wszyscy nasi młodzi ludzie myśleli tak poważnie, jak pan, nie byłoby u nas tyle proletaryatu szlacheckiego.

— Nie widzę w tem żadnej zasługi, że broniłem ojcowizny—odpowiedział Multanowski. — Ratuując Różanę, ratowałem przedewszystkiem siebie. Bo jakież los czekałby mnie, gdybym się był przeraził złym stanem dziedzictwa? Byłbym dziś rządcą lub w najlepszym razie administratorem u jakiegoś bogacza, czyli cudzym sługą, do czego nie czuję żadnego pociągu. Żem się trochę utrudził, natroskał, nie w tem nadzwyczajnego. Miliony robotników prostych lub inteligentnych, trudzą się więcej odemnie, a nikt im tego nie poczytuje za zasługę. Jestem zbyt czynną, ruchliwą naturą, abym mógł próżnować. Zawszebym coś robił, nie to, to owo,

a praca na roli nuży mnie mniej od innego zajęcia, bo lubię pola, łąki, lasy, lubię szerokie przestrzenie i tylko na wsi czuję się u siebie. Zresztą jest ziemia najpewniejszym, najwdzięczniejszym majątkiem, a chociaż dyszy dziś w samolubnych objęciach kapitalizmu, daje mimo to niezależność i stanowisko, jakich kapitał dać nie może.

Mówił to tak naturalnie, bez frazesów o obowiązkach społecznych i patryotycznych, jak gdyby się pracowitość i rządność same przez się rozumiały.

Z uwagą słuchała panna Wanda. Jej instynkt niewieści odczuł w tej skromnej mowie energię męską, siłę człowieka, umiającego świadomie chcieć i dążyć do wytkniętego celu, energia zaś męska pociąga zawsze pleć słabą, mówi bowiem do niej: Gdy się na mnie oprzesz, przejdziesz łatwiej, wygodniej drogę życia.

Gdy się Multanowski zwrócił w stronę dziewczyny, spotkały się jego oczy z jej wzrokiem życzliwym i po różowej nici tego dobrego spojrzenia szły ich serca ku sobie, jak dwaj dawni przyjaciele, którzy się po latach wielu niespodziewanie zeszli. Mimowoli uśmiechnęli się do siebie.

— Mógłbym jeszcze dodać, że mi było żal szmata ziemi, na którym rodziło się i umierało kilka pokoleń mojego domu, że nie chciałem oddać trumien swoich przodków i własnej kołyski w obce ręce, ale argument ten trąciłby dziś myszką. Kapitalizm, który sprzedaje wszystko za pieniądze, nie uznaje takich stęchłych przesądów.

— Pan kocha swoją Różanę?—zapytała panna Wanda.

— Pies wraca chętnie na podwórze, które widziało jego szczęście dziecięce, kot przywiązuje się do miejsca, a człowiek miałby być gorszym od psa i kota?—odpowiedział Multanowski.

— Bywa często od nich gorszym — zauważył Kraski swoim głosem przytłumionym, nie podnosząc głowy od mandarynki, którą właśnie obierał.

W tem zaświeciły nagle okna blaskiem fosforycznym, a w chwilę potem zadudniło nad hotelem, jak gdyby ktoś olbrzymią furę kamieni na jego dach wysypał.

Panie podniosły się przerażone z krzesel.

— Hotel się wali?

— To zwykła burza — objaśnił hrabia, nie ruszając się z miejsca.

— Błyskawice, grzmoty w grudniu?

— Zaraz państwo zobaczą i usłyszą.

Burza szła nad Rzymem z błyskawicami i grzmotami z taką siłą, jak gdyby chciała zmienić wieczne miasto w kupę gruzów. Drżały okna, zapalając się co kilka sekund światłem fosforycznym, huczał grzmot po grzmocie, w końcu lunął deszcz tak rześisty, iż zdawało się, że ktoś sypie na szyby całe worki grochu.

— A słowo stało się ciałem — szeptała pani Wolińska, żegnając się połoźnie.

— To zaraz przejdzie — uspokajał Kraski — nie przerywając sobie w jedzeniu mandarynki. — Ale teraz nastąpi szereg dni, może tydzień, może dwa, dżdżystych, wilgotnych, przykrych, nieprzyjemniejszych, niż u nas, z powodu braku dobrych pieców w mieszkaniach. A ponieważ nikt nie przyjeżdża z Polski do Włoch, aby się trząsł z zimna, bo tej rozkoszy mamy dosyć w kraju, przeto proponuję państwu wycieczkę do Neapolu. Z Rzymu do Neapolu wszystkiego sześć godzin, a klimat tam znacznie łagodniejszy i powietrze suchsze.

Pannie Wandzie zaświeciły oczy z radości.

— Ach, mamó, Neapol! — zawołała, składając ręce za prośbą. — Jedźmy do Neapolu, nad modrą zatokę ..

— W grudniu nie zawsze modrą, częściej szarą, brudną — wtrącił Kraski.

— Że też hrabia musi wszystko obrzydzić — rzekła panna. — Gniewam się na pana.

— Objaśniam tylko, bo znam Neapol, jak Warszawę.

Pani Wolińska nie odrazu się zgodziła.

Rozporządzając niewielkim funduszem, obliczała w myśli, czy może sobie pozwolić na wycieczkę do Neapolu. Wprawdzie czy tu, czy tam trzeba zapłacić hotel, ale droga tam i napowrót wyniesie przeszło sto franków, a będąc w Neapolu, trzeba będzie dojechać do Pompei, Sorrento, na Capri, co podwoi, może potroi, wydatki. Rozważywszy jednak że we wspólnie odbytej podróży, na wspólnych wycieczkach zbliżą się Wanda i Multanowski łatwiej, prędzej, poznają się lepiej i że może ta podróż zdejmie z jej starej głowy troskę o córkę, postanowiła nie liczyć się z każdym frankiem. Można oszczędzić na czem innem.

— Nie mam nic przeciw wycieczce do Neapolu — odezwała się po namyśle. — Możemy zaraz jutro jechać.

Nie zważając na obecność obcych panów, objęła ją uradowana córka w pół i wycalowała jej więźdźle policzki.

III.

Obudzili się we dwa dni potem w Neapolu.

Obudził ich trajkot automatycznego fortepianu, który bębnił na ulicy Marsyljanke. Kiedy słuchający otworzył drzwi balkonowe, wychodzące na morze, wpadł do pokoju strumień tak olśniewającego światła, iż zmusił ich do opuszczenia łóżek.

Pierwszy wysunął się Kraski z pod kołdry. Nałożywszy pantofle i poranne ubranie, wyszedł na

balkon. Z przyjemnością wdychał w siebie suche, morskie powietrze i wygrzewał się w słońcu.

— Trafiliśmy dobrze—odezwał się. — Będziemy mieli tydzień, może dwa pogody; użyjemy Neapolu. Dzień dobry!—witał kogoś, kłaniając się.

Multanowski usłyszał lekki wykrzyknik kobiety i trzask szybko zamykanych drzwi.

— Komu się to kłaniaasz?—zapytał.

— Wystraszyło się biedactwo—odrzekł Kraski, śmiejąc się.—I pannę Wandę wywabilo słońce na balkon. Żebyś wiedział, jaka ona apetyczna w niebieskim negligyku z rozpuszczonymi włosami! Zadzroszczę jej przysłemu mężowi miesiąc miodowych.

— Tylko miodowych? — mówił Multanowski, zabierając się do golenia.

— Bo tylko konkury, czyli zdobywanie kobiety i miesiące miodowe są przyjemne w małżeństwie.

— Z ciebie nie będzie miał Hymen pociechy.

— Już o mnie zwątpił. Nie ożeniłem się i nie ożenię. Zostawiam podtrzymanie rodu ludzkiego innym, podatniejszym odemnie do jarzma małżeńskiego.

— Zakryte, ciemne, bywa jutro śmiertelnika.

— Dla mnie jest moje jutro jasne, jak to słońce neapolitańskie.

Kraski zadzwonił na służącego.

— Innemi drogami szło życie twoje, a innem moje — mówił, rozsiadłszy się wygodnie w fotelu.— Ty, pracując ciągle, nie miałeś czasu do studyowania natury ludzkiej po za swoim najbliższym otoczeniem, ja zaś, próżnując i włócząc się po świecie, miałem aż za wiele czasu do zbierania obserwacji różnego rodzaju. Ciebie obchodził głównie chłop, kupiec, lichwiarz, ekonom, bo atakowali twą kieszeń, mnie zajmował człowiek wogóle, a po szczególe kobieta, zabawka próżniaka.

— Domyślam się, jakie to były te twoje modele niewieście — wtrącił Multanowski, prowadząc brzytwę z wprawą zawodowego golarza po namydlonych policzkach.

— Rozmaite, mój kochany. Księżne, hrabiny, bankierowe, aktorki, szwaczki, wdowy, mężatki, panny, Polki, Niemki, Francuski, Włoszki, jak się zdarzyło. Łobuz Amor jest demokratą i kosmopolitą. Nie pyta on, jak pani Wolińska: kto kogo, gdzie rodzi, byle buzia była gładka.

— I czegoż nauczyły cię te twoje studia próżniaka?

— Różnych mądrych rzeczy, a pomiędzy innymi i tej prawdy, że małżeństwo jest wyborną instytucją, ale tylko dla kobiety.

— Wystawiam sobie, jaki harmider podniósłby się w obozie feministek, gdybyś cisnął pomiędzy nie wyniki swoich postrzeżeń.

— Tej, któraby najgłośniejsz protestowała, ofiarowałbym tak sobie, dla zabawy, swoją rączkę, a gmach jej tak zwanych niewzruszonych zasad, przekonań, runąłby, jak domek z tektury, trącony noskiem dziecka.

Multanowski roześmiał się.

— Być może — rzekł. — *Ergo*, twierdzisz, że małżeństwo jest wyborną instytucją, ale tylko dla kobiety. Ciekaw jestem twojej argumentacji?

— Bardzo ona prosta. Kobięcie daje małżeństwo prawo do legalnej miłości, swobodę towarzyską, opiekę męża, własne ognisko domowe, bardzo często utrzymanie, a przede wszystkim dziecko, które jest jedynem, szczerem, trwałem ukochaniem płci, nawiasowo mówiąc, nie wiadomo dlaczego nazwanej nadobną i słabą. Znam więcej kobiet szpetnych, niż gładkich i więcej kapryśnych despotek, niż uległych niewolnic. Mylimy się srodze, mniemając, że kobieta nas kocha. I ona myli się, wierząc tak samo przed ślubem. Łudzi ją instynkt macierzyński, silniejszy od jej zmiennej woli. Ko-

warunkach; przewrotna lub samolubna nie zmieni się nawet w szczęściu.

Taki wniosek wysnuł z żywych dokumentów, jakich mu sąsiedztwo dostarczyło, energiczny, samodzielny temperament Multanowskiego przy pomocy kielkującego już w jego sercu afektu do panny Wolińskiej.

Złodziejczym zgrzytem wpadły słowa Kraskiego w sieć jego myśli.

— Małżeństwo jest szarą prozą miłości—odezwał się hrabia.

— A cóż jest jej poezją? — zapytał Multanowski trochę niecierpliwie.

— Narzeczeństwo i miesiące miodowe.

To rzekłszy, zaczął się hrabia ubierać.

Z komiczną ostrożnością golił go Felice, co Multanowskiego tak rozbawiło, że zapomniał o swoich medytacjach małżeńskich.

— A toś tego Włoszka wymustrował — odezwał się.

— Umie on jeszcze inne sztuki, jak np. kazać mi płacić za wszystko ceny podwójne, wypijać wino, zjadać cukier i pomarańcze, ale że bestya taka ładna, a ja lubię otoczenie estetyczne, przeto nie zwracam uwagi na jego długie paluszki.

Chłopiec był w istocie prześliczny. Smagły, zręczny w ruchach brunecik z oczami madon murillowskich, a z karnacją aniołków Rafaela, mógł służyć malarzowi za model do Amorka.

— Felice!—rzekł hrabia.

— *Signor Conte?*

— Co ty umiesz po polsku?

— Pocaluj mi nos, pszakrew, galgan.

— Co to znaczy po włosku?

— *I ho l'onore, signor, di darle il buon giorno.*

— A jak się mówi po polsku: *mi faccia il piacere di sedersi.*

— Idź do jabel, szwinia.

— Widzisz, jaki z niego polonus. Był w Rzy-

mie u mnie niegdyś monsignor Żałowski, wiesz, ten mój kuzynek, cośmy to razem ślęczyli nad greką. Kiedy go Felicę po polsku przywitał, prałat aż piał z uciechy. Śmiał się do łez.

I Multanowskiego zabawiła polszczyzna Filicego, bo chłopiec popisywał się jeszcze innemi, wcale niewytwornemi frazesami polskimi, których go jego pan w chwilach dobrego humoru nauczył.

W tem odezwał się na korytarzu hotelowym dzwon, wzywający na śniadanie.

— A tośmy spali!—zawołał Multanowski zdziwiony.—Patrz, już pierwsza.

Przy długim stole w sali stołowej zebrało się dość liczne towarzystwo, składające się przeważnie z Angielek i Amerykanek.

Panów było niewielu. Mamy z córkami, ciocie z siostrzenicami.

Służba obnosiła już pierwszą potrawę, kiedy Kraski i Multanowski wchodzili do sali. Nie zajęli miejsca przy głównym stole. Zamówili dla siebie osobny stolik na cztery osoby pod jednym z okien, aby im towarzystwo obcych nie przeszkadzało.

Zaraz po nich ukazały się panie Wolińskie.

Przodem dreptała mama drobnym, kołyszącym się kroczeniem osoby otyłej niskiego wzrostu, szleszcząc kanausową podszewką wełnianej spódnicy. W najmiłszy uśmiech, na jaki się tylko zdobyć mogła, ustroiła wypoczęte, wyspane oblicze, witając się z panami.

— Jesteśmy hrabiemu bardzo wdzięczne za pomysł wycieczki do Neapolu — odezwała się.—Nie miałam wyobrażenia, żeby w grudniu mogło świecić słońce czerwcowe. Ale siadajmy, bo służba czeka.

Nad stołem głównym unosił się lekki szmer tłumionych głosów niewieścich.

Ladies amerykańskie, aczkolwiek w domu u siebie umieją się śmiać głośno, czasami nawet za głośno, tu, w starej Europie, usiłowały zachować jak-

najpoprawniej, aby ich nie posądzono o gminne pochodzenie. Mąż jednej handlował za Oceanem wieprzami, drugiej pracował w *businessie* konserwów mięsnych, trzeciej szachrował na giełdzie, czwartej wyprawiał skóry (wszyscy dorobili się sporej kupki dolarów) i t. d., ale tu, na kontynencie Europejskim chciały uchodzić za damy z najlepszego towarzystwa. Przez zmrużone powieki, z lekceważeniem świeżego majątku, spoglądały na europejczyków, których zachowanie się i ruchy mimo to skwapliwie naśladowały. Pozornie nie zwracały uwagi na nowych przybyszów. Co chwila jednak musiał się t. zw. dyrektor hotelu, szef służby, obchodzący salę dokoła, czujny, jak żóraw na każde skinienie gości, nachylać do którejś z *miss* i odpowiadać szeptem na jej wyszeptane pytanie. Córy demokratycznej rzeczypospolitej dowiedziały się niewątpliwie, że przy stoliku pod oknem siedzi jakiś hrabia, bo oczy Amerykanek, głównie młodych, zwracały się ciekawie w stronę stolika polskiego. Córy demokratycznej Ameryki są bardzo wrażliwe na spłowiełe tytuły starej Europy.

Stolik polski tymczasem był sobą tak zajęty, iż nie zauważył, że stał się tarczą, do której strzelały różne spojrzenia, stare i młode.

Ku wielkiej radości macierzyńskiego serca pani Wolińskiej rozmawiali z sobą Multanowski i panna Wanda przez całe śniadanie, nie troszcząc się o resztę towarzystwa. To, o czym mówili, nie warcie było ożywienia, jakie malowało się na ich twarzach, tryskało z ich błyszczących oczu. Zbyt mało się jeszcze znali, aby mogli mówić o rzeczach, które ich najwięcej zajmowały. Rozmowa ich czepiała się drobiazgów, podawanych potraw, wina, owoców, naczyń, dużego nosa dyrektora hotelu, sztucznie dystygowanej miny garsona — ślizgała się po wierzchu, bezmyślna, czcza, dziecinna, a im sprawiała prawdziwą przyjemność. Mówili, aby mówić, aby słyszeć swój głos, patrzeć sobie w oczy, śmiać się,

nie wiadomo z czego. Widać było, że się już lubią, że im dobrze razem, że lecą bezwiednie w siebie, zastawione przez Amora.

Widziało to przedewszystkiem czujne oko matki. Co pewien czas przechylała się pani Wolińska ku nim, jakby im chciała pomódz, pchnąć ich ku sobie, zbliżyć, złączyć ich ręce: bierzcie się, nie obawiajcie się, pozwolę, pobłogosławię, tylko prędzej, nie dřejcie matki niepewnością...

I Kraski widział bardzo dobrze, że się Edmund i Wanda mają ku sobie. Z ironicznym uśmiechem przypatrywał się tej naiwnej strategii Amora, zawsze tej samej lekkomyślnej igraszce z najważniejszym aktem życia ludzkiego.

Łoskot odsuwanych krzeseł przypomniawszy stolkowi polskiemu, że się po skończonem śniadaniu opuszcza salę.

— I cóż zrobimy z naszym popołudniem? — zapytał Kraski.

— Niech hrabia raczy być kierownikiem naszego przyjemnego próżniactwa — rzekła pani Wolińska.

— Proponuję do 3-iej krótki spacer po mieście, a od 3-iej do 4-tej czarną kawę i gazetkę z muzyką w parku. Ale proszę zabrać ciepłe okrycia, bo po zachodzie słońca bardzo łatwo się i w Neapolu przeziębć.

Na deptaku, okrążającym zatokę Neapolitańską, było o tej porze spokojnie. Nawet fortepiany automatyczne wypoczywały po kilkugodzinnej brzdąkaninie. Tylko niańki ustrojone w szerokie, długie różnokolorowe wstęgi, spadające po plecach od głowy aż do pięt, i bony wlokły się wolno, leniwie z dziećmi do parku.

Pod przewodnictwem Kraskiego skręciło towarzystwo w boczną ulicę, gdzie wystawy sklepowe świeciły brylantami i czerwieniły się koralami.

Zatrzymano się przed oknem głównego sklepu koralowego.

Z błyskami kobiecej ciekawości w niebieskich oczach przypatrywała się panna Wanda bogatej wystawie. Były tam sznury koralu czerwonych, jak zdrowa krew, były bladoróżowe i pospolite, koloru ceglatego, znana powszechna ozdoba wiejskich dziewcząt.

Blyszczące oczy panny Wandy spoczęły z żarłocznym głodem na bladoróżowym naszyjniku z dużym, płaskim korałem pośrodku.

— Ach, mamó, jakie te różowe ładne—zawołała.—Nie widziałam jeszcze tak ślicznych koralu.

A oczy jej dopowiadały: Kup mi je mamó!

Cheiwý jej wzrok pochwycił Kraski i uśmiechnął się nieznacznie.

— W tych sklepach nie warto nic kupować—odezwał się — są to apteki, przeznaczone tylko dla naiwnych cudzoziemców. Przez ciekawość wstąpiłem raz do tego sklepu i zapytałem o cenę takiego samego naszyjnika. Zażądano trzy tysiące pięćset franków.

— Trzy tysiące pięćset? — zawołała pani Wolińska, tak zdumiona, jak gdyby ujrzała nagle psa, latającego w powietrzu. — Trzy tysiące pięćset za korale? Pan żartuje.

— Możeby oddano za trzy tysiące, bo we Włoszech trzeba się wszędzie targować.

— A te mocno czerwone, te krwawe? — zapytała panna Wanda głosem stłumionym.

— Te są znacznie tańsze — objaśnił Kraski. — Kupiłem przed kilku laty takie same za pięćset franków.

— Pięćset franków...

Błyśki w oczach dziewczyny zgasły, a na jej świeżej buzi malował się taki szczerý żal, że Multanowski byłby go był chętnie utulił owym bladoróżowym naszyjnikiem, gdyby posiadał prawo do zmieniania smutku panny Wandy w uśmiech szczęśliwy. Ale nie był jeszcze jej narzeczonym.

— Pani lubi brylanty, rubiny, perły i tym po-

dobne błyskotki? — zapytał Kraski, spojrzawszy ukosnie na Multanowskiego.

— Któraż prawdziwa kobieta nie lubi się zdożyć i stroić? — odpowiedziała panna Wanda.

Powiedziała to szybko, bez namysłu, ku wielkiemu przerażeniu matki. Pani Wolińska miała ochotę zawołać na nią: „Co ty wygadujesz, bądź ostrożniejsza, odstraszyś konkurenta, zepsujesz całą moją robotę!” nie mogąc jednak wobec świadków strofować córki, uszczypnęła ją lekko w łokieć, a zwróciwszy się do Multanowskiego, rzekła:

— Niech pan temu nie wierzy, co Wandeczka mówi. Ona powie czasem coś tak sobie, aby tylko coś powiedzieć. W Rzymie chciałem jej kupić bardzo ładne szafiry z brylantami a ona nie pozwoliła mi. Szkoda pieniędzy na błyskotki — mówiła — lepiej je schować na coś użyteczniejszego. Dziwno mi czasem, z kąd w niej ta oszczędność, ten rozsądek, bo nieboszczyk jej ojciec, do którego jest podobna twarzą, wzrostem i usposobieniem, nie lubił się liczyć z pieniędzmi.

Uszczypnięta po raz drugi w łokieć panna Wanda, która nie wiedziała nic o owych ładnych szafirach z brylantami, milczała zakłopotana, odgadła bowiem niezręczny manewr matki.

W swej troskliwości macierzyńskiej wysilała się pani Wolińska niepotrzebnie na obronę córki przed domniemanym konkurentem, kielkujące bowiem w sercu Multanowskiego uczucie zaczęło mu już przesłaniać ujemne strony charakteru panny, gdyby jakie dostrzegł. Ta przystojna dziewczyna, spotkana na obczyźnie, pociągała go swoją polską urodą i swoją życzliwością, jaką mu okazywała, co mu w tej chwili zupełnie wystarczało. Nie widział zresztą w tem nic zdrożnego, że oczy jej śmiały się pożądliwie do drogich kamieni i bladoróżowych koralu. Wszystkie kobiety lubią świecidełka, począwszy od dziewczki wiejskiej, a skończywszy na damie najlepszego towarzystwa.

W parku roilo się mrowie wyświeżonych spacerujących. Dziwno było mieszkańcom północy widzieć w grudniu panie w wiosennych kostiumach, a panów w letnich paltotach z kwiatami w butonierkach.

Pannę Wandę zajmowały głównie toalety damskie. Ze znajomością krawczyń zwracała uwagę Multanowskiego na krój sukien, modny czy nie modny, a on, który miał o modach wyobrażenie ślepego, słuchał z takim przejęciem, jak gdyby w życiu nie myślał o niczem innym. Było mu wszystko jedno, o czem dziewczyna mówiła. Sam dźwięk jej głosu łaskotał przyjemnie jego słuch. Rodzące się uczucie serdeczne nie umie, nie chce być krytykiem.

Siedzieli na wynajętych krzesłach przed kawiarnią, słuchając jednym uchem orkiestry wojskowej, wygrywającej różne „kawalki” z oper i operetek. Milszą im była rozmowa.

Aby nie wciskał się pomiędzy nich ze swojemi drwiącemi uwagami, zabawiła pani Wolińska Kraskiego ploteczkami z okolicy, w której niegdyś razem mieszkali. Hrabia słuchał z pozorną uwagą i odpowiadał, co mu wcale nie przeszkadzało chwycić każde słowo panny Wandy. Przyjaciel czuł za przyjaciela, któremu chytry Amor odjął wzrok krytyczny. Z uwag, z upodobań, z zachwytów dziewczyny odbudowywał sobie jej charakter, odgadywał jej duszę.

Słońce tymczasem zaczęło się zsuwać ku zachodowi. Chłodny wiatr szedł od zatoki morskiej, przypominając paniom, że czas wracać do hotelu.

— Pierwsza godzina po zachodzie słońca jest dla cudzoziemców we Włoszech najniebezpieczniejsza—ostrzegł Kraski, podnosząc się z krzesła.

Ulica nadbrzeżna huczała teraz, jak rynek małego miasta w dzień targowy. Krzyżowały się, prawie ocierały się o siebie wózki dwukolne, zaprężone w osielki, muły; omijały się zrzęcznie wo-

lanty, powozy, karety; ślizgały się bez szelestu bicykle; dudniły, brzęczały samochody. A wszystko to leciało, pędziło na łeb na szyję, jak gdyby się grad szrapneli i granatów sypał z góry na zatokę. Głośnem, ostrem: aaa! naglili woźnice leniwie osielki i muły do pośpiechu.

Chodnikami ciągnęły tłumy, niepokojone przez wrzaskliwych przekupniów. Co chwila podsuwał jakiś obdartus pani Wolińskiej pod sam nos to paczkę zapalek, to sznur koralu, to spinki i broszki mazaikowe, albo pocztówki. Poważna dama cofała się za każdym razem przerażona, bawiąc Kraskiego niezręcznemi ruchami tłustej kaczki.

— A to natrętni! Jezus Marya! Policja powinna zabronić tak natarczywego handlu ulicznego—skarżyła się pani Wolińska.

Słońce zbliżało się coraz więcej ku Pausillipowi, rzucając na ciemnozieloną szybę zatoki szeroką, srebrną, lśniąca migotliwą wstęgę. Lekkie, przezroczyste gazy pierwszego mroku wieczornego zaczęły obwijać szarą pajęczyną wzgórze Pausillipu, hotele, domy, drzewa. Białe mewy, kołyszące się na wodzie, wydawały się czarne.

— Pośpieszmy się—zauważył Kraski—słońce zgaśnie za kilka minut. Jeszcze męczy mnie wieczorami kaszel, dabyty w Rzymie; nie chciałbym do niego dołączyć kataru neapolitańskiego.

Kiedy znalazł się w pokoju hotelowym sam z Multanowskim, zapytał:

— Ile twoja Różana przynosi rocznie?

A widząc zdziwienie przyjaciela, mówił:

— Nie dla zaspokojenia natrętnej ciekawości nudzę cię tem niedyskretnem pytaniem. Chciałbym tylko wiedzieć, czy dochody twoje starczą na biu-terye i toalety żony?

W pierwszej chwili nie domyślił się Multanowski, do czego Kraski zmierza, odgdałszy jednak, czego się obawia, odpowiedział:

— Znając nasze stosunki wiejskie, wiesz mniej

więcej, co może przynieść czterdzieści włók dobrej ziemi przy pracy i rządności.

— Dużo i mało, co zależy od takiego lub innego roku.

— Ale zawsze tyle, że starczy na przyzwoite utrzymanie żony.

— Nie zapominaj, że z żoną z naszych lepszych sfer wchodzi w dom cały legion uciążliwych dodatków: panna służąca, mamka, niańka, bona, guwernantka, korepetytorzy, krewni magnifiki. Jeżeli dodasz do tego wyjazdu do Warszawy, do wód, biżuterię i toaletę pani, powozy, konie cugowe, przyjęcia, doktora i t. d., to twoje włók czterdzieści musiałyby rodić złote kłosa, aby na to wszystko starczyło. Namysł się dobrze, zanim się zwiążesz słowem nierozważnem.

Multanowski milczał.

IV.

Noc...

Na balkonie stał Multanowski z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Był bardzo zadowolony, że Kraski poszedł dziś do jakiegoś „café - chantant”, czuł bowiem potrzebę samotności, skupienia się, uporządkowania doznanych w ostatnich czasach wrażeń, spojrzenia w głąb własnej duszy, własnego serca.

Na dole, u jego stóp połyskiwała zatoka Neapolitańska, jak ogromna, polerowana płyta stalowa, ciemna, cicha, pogrążona w milczeniu. Nie ożywiały jej statki rybackie, nie unosiły się nad nią smukłe mewy. Tylko jakiś okręt, czekający w porcie, na znak świstawki, aby wyruszyć w drogę, czuwał, patrząc dwoma rzędami oświetlonych okien w czarnej otchłań nocy.

Wzrok Multanowskiego ślizgał się po nieruchomem lustrze zatoki, ale nie dostrzegł ani jej połysków stalowych, ani złotych smug, które oświetlone okna okrętu rzucały na wodę. Bo myśli jego były w tej chwili daleko, w zapadłym kącie nad Wartą.

Tam, w ogrodzie stał obszerny dom, a ten dom był pusty, głuchy, jak dzwon bez serca, jak kościół bez organów. Przez lat dwadzieścia mieszkał w tym domu, żył, pracował i nie czuł jego osamotnienia. Pochłonięty przez walkę o byt, o swoje dziedzictwo, nie zwracał uwagi na chłód, jaki wiał na niego ze wszystkich kątów. Nigdy nie zadzwonił w starym dworze serdeczny śmiech szczęśliwej kobiety, nie świergotał szczebiot pieszczonego dziecka.

Był zawsze sam, jak więzień.

Teraz dopiero, kiedy mu już pozwy i procesy nie groziły, kiedy nie miał potrzeby obawiać się komorników, kiedy był nareszcie w swoim dziedzictwie u siebie, panem istotnym, przerażała go myśl powrotu do pustego domu.

Któż go tam przyjmie? Płatny rządca, płatna służba, ludzie obcy, związani z nim tylko pobieraną pensją. Z chwilą, gdyby nie mógł ich pracy wynagrodzić, opuszczą go bez żalu i pójdą służyć innemu panu.

Nigdy go dawniej ten naturalny stosunek pracownika do pracodawcy nie dziwił, nie zastanawiał się nad jego pospolitą samolubstwem, a teraz doznawał przykrego uczucia na myśl, że zastanie w domu zamiast szczerych, oddanych mu całą duszą przyjaciół, obojętną na jego szczęście i nieszczęście służbę.

Bo w jego sercu odezwawało się, z czego sobie nie zdawał sprawy, czego nie wiedział, pragnienie własnego ogniska domowego, własnej żony, własnego dziecka, a odezwawało się tem gorętsze, tem natężniejsze, iż przyszło trochę spóźnione. Czuł instyktownie, że nie ma już czasu do zwlekania, do

namysłu, że powinien się śpieszyć, jeżeli chce być jeszcze szczęśliwym pospolitem szczęściem ludzkim. Wprawdzie, nie trwoniąc zdrowia i serca na zwykłe kawalerskie miłości, zachował dotychczas energię młodzieńczą i świeżość uczuć, ale prawa natury są nieublagane, jak przeznaczenie. W czterdziestym czwartym roku życia zaczyna się już człowiek zbliżać powoli ku kresowi wieku dojrzałego.

Nie kochał dotychczas nigdy i nie był kochany, przelotne bowiem znajomości i stosunki, jakie mu życie podsuwało, rozplatały się tak łatwo, jak łatwo były splatane. Ale w jego sercu nie zgasła tęsknota za kobietą, za dopełniającą mężczyzną połową, za najwierniejszym przyjacielem i najlepszym towarzyszem. Prawa natury i tradycja lat tysięcy, skryształizowane we wzajemnym, nieświadomym pociągu obu płci, dopominały się w nim teraz, kiedy posiadał środki do zbudowania własnego gniazda, wcielenia z siłą długo tłumionego instynktu. Jak wezbrany potok zalewa łąki i pola, tak zalała tęsknota za serdecznym uściskiem ukochanej i kochającej żony wszystkie jego poglądy na małżeństwo, wszystkie jego zasady, wytrzeźwione twardem życiem. Jeszcze temu kilka tygodni byłby ostrzegał kogoś blizkiego tak samo jak Kraski jego ostrzegał, a dziś nudziły go, męczyły, drażniły praktycznie uwagi hrabiego. Nie chciał rozumować, rozważać, badać; pragnął rzucić się z zawiązanymi oczyma, na oślep w objęcia miłości, i kochać, kochać...

Kiedy tak stał na balkonie sam ze swojemi myślami, widział młodą gospodynię, krzątającą się w starym dworze różańskim, a obok niej, uczepioną u jej sukni, jasnowłosą dziecinę i uśmiechał się do tego wdzięcznego obrazka.

Nad zatoką, na ciemnym niebie stał w pośród gromadki gwiazd srebrny sierp miesiąca tak nieruchomy, jak gdyby go niewidzialna ręka przygwoździła do firmamentu. Wyraźnemi konturami odcinało się od jaśniejszego nieba i błyszczącej szyby

wodnej czarnej wzgórze Pausillipu, do śpiącego olbrzyma podobne, popstrzone tu i owdzie blademi światłkami.

Ruch na ulicy ustał. Uroczysta cisza nocy wiała nad zatoką, objęła śpiącego olbrzyma, unosiła się nad całą dzielnicą nadmorską.

W tej ciszy uroczystej zadzwonił nagle brzęk strun mandolinowych, a potem, po krótkiej przegrywce, wypłynął z niej barytonowy głos męski silny, dźwięczny. „Santa Lucia” śpiewał na dole przed hotelem artysta uliczny.

Jeszcze dzieckiem będąc, słyszał Multanowski tę odwieczną serenadę neapolitańską, wybrzdąkiwaną w Polsce na wszystkich fortepianach. W kraju byłby przed nią uciekł, ale tu, w ramach pogodnej nocy włoskiej, przykuła ona do siebie całą jego duszę.

Cofnąwszy się za próg balkonu, ukryty dla śpiewaków, których sylwetki majaczyły na dole, jak cienie, słuchał nie uchem, lecz sercem aksamitnych, miękkich tonów, przytłumionych oddaleniem i doznawał uczucia, jak gdyby go jakiś duch życzliwy przeniósł na inne światy, promieniejące majestatem poezyi, oblane błękitami marzeń romantycznych, dalekie od zgiełku i nędzy tej ziemi.

Teraz śpiewał inny śpiewak, tenor uliczny, przy wtórze głosu niewieściego jakąś niezmiernie słodką pieśń miłosną, która szła prosto do jego serca, potracając w niem o struny tęsknoty, nienasyconych pragnień.

Zamknął oczy, ssał miód pieśni i głosów każdym nerwem, każdą kroplą krwi, całą swoją istotą i widział wyraźnie, jak gdyby stała przed nim w jasny dzień, paunę Wolińską, w białej sukni z niebieską wstążką dokoła szyi, z niebieskim paskiem dokoła bioder, ze słodkim uśmiechem na różowych ustach, a ten uśmiech obiecywał mu tyle szczęścia, iż serce jego zabiło młotem, a krew gorąca zalała mu mózg.

Zrozumiał, raczej czuł, że ową gospodynią, krzątającą się we dworze różańskim, będzie, być powinna panna Wanda, jeżeli stary, dotychczas pusty, chłodny dom ma się zmienić dla niego na resztę życia w ciepłe gniazdo.

*

*

*

Zagłębiona w fotelu, przysuniętym do balkonu, siedziała panna Wanda. Głowę oparła na jedwabnej poduszce, ręce splotła na łonie, rozmarzony wzrok utkwiała w księżycu, niemym powierniku wszystkich zakochanych i smutnych, szczęśliwych i nieszczęśliwych.

A z dołu, z ulicy, szły pod górę miękkie, aksamitne, przytłumione tony pieśni miłosnej, starej, spłowiałej, pokrytej pleśnią lat sędziwych, a mimo to zawsze młodej, świeżej jak ruń pól wiosennych.

Rozkoszna bezwładność słodkiego marzenia ogarnęła dziewczynę. Piersi jej podnosiły się lekko, miarowo, usta rozchyliły się jak kielich róży, spragniony rosy orzeźwiającej.

Księżyc przypominał jej jasne, polskie noce letnie, owe noce czarodziejskie, w których młode serca tęsknią za szczęściem nieokreślonym, za wonią życia, za poezją miłości.

Tak dalekie były jej pierwsze sny dziewicze... Życie przeszło po nich brutalną, bezwzględną stopą, deptając ich kwiaty prześliczne, utkane z cichych westchnień i marzeń powiewnych. Złoty cielec i trzeźwy rozsądek rozerwały ich watałę przedzę swoją ręką grubą.

Już nie marzyła o królewiczach, którzy licznym otoczeni dworem, stukają do chat ubogich dziewcząt, ani o słynnych rycerzach, którzy składają wawrzyny swojej sławy u stóp wybranej bogdaniki, doświadczenie bowiem nauczyło ją, że nietylko

królewicze i słynni rycerze, lecz nawet szary tłum pospolitych kandydatów do stanu małżeńskiego dopytuje skwapliwie o posag przyszłej żony.

Przesunęły się obok niej w przeciągu lat siedmiu na balach, wieczorach, u wód, szeregi t. zw. „młodych ludzi,” znaleźli się między nimi nawet tacy, na których zwróciła uwagę życzliwą, a którym ona nie była obojętną, ale w chwili stanowczej, kiedy się zdawało, że ze stosunku dobrej znajomości wykwitnie związek serdeczniejszy, odstraszał ich zawsze jej posag niewielki.

O królewiczach i bohaterach nie marzyła już panna Wanda, proza jednak rzeczywistości nie zdołała jeszcze zgasić w jej sercu tęsknoty do miłości, do najwyższego szczęścia kobiety. Była na to za młodą i zanadto pieszczoną przez matkę. Walka o byt powszedni, który jej zapewniały bez pracy resztki fortuny ojcowskiej, nie starły z jej duszy białego puchu idealniejszych poglądów na życie. Może znajdzie się nareszcie ktoś, co ją sobie upodoba dla niej samej, a którego ona będzie mogła szanować i kochać...

I oto stanął przed nią ten długo oczekiwany, nagle, niespodziewanie, stanął ozdobiony wieńcem ciężkiej, długoletniej pracy i wyciągnął do niej rękę bez namysłu, serdecznie, nie pytając o jej posag. Instynktem kobiety odczuła w Multanowskim już po kilku dniach szczerego przyjaciela, wiedziała, że zapadła w jego serce, wzbierające uczuciem dla niej. Nie był królewiczem, ani bohaterem, ale dał dowody siły i energii męskiej borykając się odważnie i z dobrym skutkiem z przeciwnościami. Z szacunkiem spoglądała na niego. W jego jasnym spojrzeniu, otwartych rysach, w uwagach treści ogólniejszej, jakie czasem od niechcienia rzucał, odpowiadając na sceptycyzmy Kraskiego, widziała, słyszała szczerą, prawą duszę człowieka uczciwego.

I serce jej zaczęło się rozgrzewać; z jego naj-

głębszych głębi zaczęły się wysnuwać drżące, złociste nici starganych marzeń dziewiczych wychodząc wstydlive sny kobiety spragnionej miłości a z tych złocistych nici i wstydlivych snów splótł się wieniec promienny, który otoczył głowę Multanowskiego aureolą wybrańca.

Z dołu, z ulicy nadpływały miodowe tony miłości i budziły w jej sercu całą symfonię pragnień i przeczuć szczęścia. Tak długo czekała na raj niewieści, ale teraz otworzyły się już dla niej jego bramy kwieciste, teraz zbliżają się już do niej heroldowie Hymenu z białym welonem i wiankiem mirtowym.

Uśmiechała się miękko, z ufną uległością do szczęścia w małżeństwie... do przeznaczenia kobiety.

*

*

*

V.

Siedzieli na murach pompejańskich w pobliżu bramy prowadzącej na ulicę umarłych, na stary cmentarz rzymski. Odpoczywali po kilkogodzinnem zwiedzaniu ruin odkopanego miasta, które zawdzięcza sławę swoją nieszczęściu, które je niegdyś, temu lat tysiąc osiemset, tak strasznie zgromiło.

Widać było z tego miejsca szafirowe morze, a w dali, w przejrzystych błękitnych mgłach czarne wzgórze, niosące na grzbiecie Neapol.

Było tak ciepło, jak w Polsce w czerwcu.

Ocierając pot z czoła, sapiąc, wgramoliła się pani Wolińska z trudem na mur. Usiadłszy na rozłożonym szalu, odetchnęła głęboko.

— Nie rozumiem, czem się ludziska tak za-

chwycają w tej Pompei — odezwała się. — Wązkie uliczki, pogruchotane domy, resztki murów, kupy kamieni, gruzów... Cóż w tem tak nadzwyczajnego? Każda nasza miejscina wygląda tak samo po pożarze. Wolalabym być w tej chwili w Neapolu, w parku i słuchać muzyki.

Od kilku dni pracowała, biedna, nad siły. Wożono ją koleją, powozem, statkiem, tramwajem po różnych dziurach i kątach, do Sorrento, Salerno, Torre del Greco, na Capri, kazano jej podziwiać góry, morze, brudne miejsciny włoskie, piąć się po schodach, wlażyć na mury, do grot, licho wie gdzie. Szła, jechała wszędzie, dysząc, pocąc się, męcząc pod zbyt obfitym ciężarem swoich wdzięków, szła, jechała cierpliwie w tej nadziei, że się Multanowski i Wanda zbliżą do siebie na wycieczkach, porozumieją się łatwiej, oświadczą się sobie.

Cóż ją mogły obchodzić różne stare kamienie, mury, rzeźby, malowidła, co wspaniałe krajobrazy w chwili, kiedy całą jej istotę opanowała, wzięła w posiadanie jedna myśl; oświadczy się, nie oświadczy? Po za tą myślą, która prześladowała ją w dzień, niepokoiła w nocy zmorą natrętną, nie było w jej głowie matki córki na wydaniu, miejsca dla innej. Taka dobra partya! Ten Multanowski, jak stworzony na męża dla Wandy: zamożny, energiczny, obrotny, stateczny. Pod opieką takiego męża może żona spać spokojnie na oba uszy; będzie jej w Różanie, jak u Pana Boga za piecem. A on zwleka, nie wiadomo, dlaczego.

Oko matki córki na wydaniu, czujne, bystre, odgadujące, jak wzrok sędziego śledczego, dostrzegło, zbadało, że „młodzi mają się ku sobie”. Czyby się Multanowski dowiedział, że Wanda posiada tylko dwadzieścia tysięcy rubli posagu; a otrzyma je dopiero po najdłuższem, daj to Panie Boże, życiu rodzicielki, bo to cały ich fundusz. Może go nizka liczba posagu odstrasza? Ale nie. Ten stateczny człowiek nie robi wrażenia posagółowca. To

powstrzymuje go niewątpliwie nieznośny hrabia, chłodny, wiecznie rezonujący mędek. Po co się on za nimi włóczy, jak wyżeł za myśliwym? To on wszystkiemu winien. Gdyby nie on, byłaby już Wanda po słowie, a ona, kochająca matka, mogłaby nareszcie swobodnie odetchnąć i oglądać z przyjemnością, choćby te nudne, poszarpane murzyska i wytarte, odrapane malowanki ściennie.

Z żalem, z nienawiścią spojrziała pani Wolińska na Kraskiego, który odpoczywał po ciężkiej pracy, pełnił bowiem dziś w Pompei służbę przewodnika.

— Może nas pan jeszcze zawlecze do jakiej jaskini smoków przedpotopowych—rzekła, rzuciwszy Kraskiemu spojrzenie jadowite.

— Który pożerał matki córek na wydaniu — pomyślał Kraski, a głośno odezwał się: — Uważam że szanowna pani nie posiada wokacyi na archeologa, którą wadę duszy dzieję z panią dobrodziejką. Zajmowałem się niegdyś dla odmiany dużo różnemi starami gratami i skorupami, a dziś nie rozumiem, dlaczego poświęcamy w podróży tyle czasu rzeczom, obchodzącym przeciętnego śmiertelnika w gruncie bardzo mało. Raz widzieć te wszelakie *antiquitates* nie zaszkodzi, zwłaszcza, gdy się tak, jak Edmund i ja, ślęczało przez lat dziewięć, dziesięć nad greką i łaciną. Miło popatrzeć na miejscowości, błądzić wśród ruin starożytnej Hellady i Romy, o których się tyle na ławie szkolnej słyszało, uczyło. Ale żeby się tą całą starzyzną zachwycać, żeby się grzebać z rozkoszą w tej pleśni, na to trzeba być z zawodu archeologiem lub historykiem.

Z niechęcią odwróciła się od niego pani Wolińska. Po co on to wszystko mówi? Ciągłe gada i gada różne trzy po trzy. Lepiej, żeby ułatwił Multanowskiemu i Wandzie samnasam, aby mogli się nareszcie porozumieć. Niepewność trawi, jak gorączka. Ale on czepia się ich boku, niby natrętny żebrak i przeszkadza im rozmysłnie.

Z przyjemnością byłyby pani Wolińska obila Kraskiego parasolką.

Niepotrzebnie gniewała się na niego, serca bowiem Multanowskiego i Wandy były sobie już tak bliskie, tak mocno spojone wzajemnym pociąganiem, wzajemnemi tęsknotami, iżby ich najlogiczniejsza argumentacya nie rozplotła. Miłość jest uparta, samolubna we dwoje, posiada swoje własne argumenty, których ani trzeźwy rozsądek, ani doświadczenie nie przekonują. I właśnie w tym uporze, w tem zamknięciu się w sobie spoczywa jej siła, jej urok.

Od owego wieczoru, kiedy czar cichej, pogodnej nocy i słodycz pieśni neapolitańskiej zbudziły w ich sercach świadomość miłości, zlania się dwóch połów człowieka w całość jednolitą, Multanowski i Wanda przestali istnieć dla otoczenia. Siebie tylko widzieli, szukali, sobą tylko byli zajęci, o sobie tylko myśleli, marzyli. Wystarczało im, że byli obok siebie, że patrzyli sobie w oczy, słyszeli swój głos. Z niezawodzącym instynktem miłości, która lęka się słusznie dotknięcia życia, jego chłodu, jego brutalności, nie śpieszył się Multanowski z urzędowemi oświadczeniami. Tak miło, tak rozkosznie czuć się duszą czyjejs duszy, myślą czyjejs myśli, a nie być skrepowanym obowiązkami. Z chwilą kiedy prawo i obyczaj stają między zakochanymi, łącząc ich jawnie przed całym światem, spada z miłości biały, wonny puch dziewiczego, czystego uczucia. I dlatego ukrywa się miłość przed okiem obojętnem, zazdrosna o swoje szczęście.

Nie rozumiała tego pani Wolińska, tak bowiem dawno zabiło jej serce po raz pierwszy do nieboszczyka męża, iż miała czas zapomnieć psychologię miłości. Stara matka pojmowała już tylko praktyczną stronę życia.

Multanowski i Wanda siedzieli obok siebie, nie biorąc udziału w rozmowie. Cóż ich mogła

obchodzić archeologia i historia? Byli dla siebie światem zamkniętym.

Ze szczytu, z krateru Wezuwiusza wysnuwał się lekki dymek, nie zdradzający wcale okrutnej potęgi, zaczajonej w łonie wulkanu.

— Kurzy sobie zdrajca fajeczkę, i myśli nad tem, w którą stronę plunąć lawą — zauważył Kraski.—Tak niewinnie wygląda dziś ten smok ognisty, jak gdyby nie czyhał nigdy na zgubę łatwoiernych. Ale mniemam, że wypoczęliśmy dostatecznie, zwłaszcza, że pora śniadania się zbliża.

Wracali pustemi, głuchemi ulicami umarłego miasta. Zwiedzających było w tej porze w Pompei niewiele. Tu i owdzie pilnował znużony nudnem zajęciem stróż wejścia do jakiejś ważniejszej ruiny, lub włókł się leniwym krokiem wzdłuż murów na wązkim chodniku bazaltowym. Ani jednego drzewka, ani jednego ptaszka, nigdzie śladu życia, radości w ponurym grobowcu... Przykra pleśń wieków wiała na żywych z niemych, pokaleczonych murów.

Odetchnęli, wydostawszy się z ruin na drogę, pomiędzy drzewa, zielone ogrody, zamieszkane domy i ludzi. Zawszad opadła ich krzykliwa gawieź przepokupniów i woźniców.

W hotelu Szwajcarskim było już śniadanie gotowe. Z przyjemnością pokrzepiali się wysuszonymi kotletami, źle upieczonymi kartoflami i kwaśnem winem.

— Gdyby nam w domu, w kraju, podano tak ohydne jedzenie, wypędzilibyśmy kucharkę na cztery wiatry — odezwał się Kraski — a zagranicą smakuje nam wszystko.

— Bo musi nam smakować — zauważyła pani Wolińska.—Na cóż zdałby się gniew w cudzym domu? Niktby na niego nie zwracał uwagi

Już mieli zamiar wstać od stołu, kiedy do sali weszło nowe towarzystwo: pan, dwie panie i dwa podlotki.

— W imię Ojca i Syna — odezwał się Multa-

nowski, spostrzegłszy nowoprzybyłych. — Tym potrzebne podróże, no. Chyba wygrali na loteryi.

— Któż to taki?—zapytał Kraski.

— To moi sąsiedzi, państwo Narowscy. Siedzą na pięćdziesięciu włókach, wprawdzie dobrej ziemi, ale tak obdłużonych, że ledwie zipią.

Pan Narowski, przystojny szatyn z czerstwą, rumianą twarzą zdrowego wieśniaka, wysokiego wzrostu, smukły, bardzo starannie ubrany, rozglądał się dokoła, szukając wolnego miejsca. Błysk radości zapalił się w jego oczach, kiedy ujrzał Multanowskiego.

— Nareszcie cię mam — wyrzekł, całując się z sąsiadem.— Ciągłe myślałem w drodze o tobie.

Nastąpiła prezentacya. Zaproszeni uprzejmie przez panią Wolińską, zajęli państwo Narowscy z córkami i nauczycielką ich miejsce przy wolnym już stole.

Między jednym daniem a drugim toczyła się zwykła gawędka podróżna: a gdzie państwo byli, w jakich hotelach stawali, czy widzieli w Rzymie Papieża, w Wenecyi kościół św. Marka, pałac dózów i fabryki mozaik, we Florencyi galerye obrazów i t. d. Dzielać się wrażeniami, lustrowały się panie nawzajem: jaką która ma suknię jakie kolczyki, jaką broszkę, jakie zęby, włosy. Oczy pani Narowskiej (ładnej, jeszcze świeżej, trochę zanadto opieklej brunetki), czarne, ogniste, zalotne, przechodziły badawczo z pań na panów, zatrzymując się dłużej na Kraskim.

— Gdybym był młodszym i miał ochotę taty-gować się niewygodnym romanssem z mężatką, mógłbym się z tą zalotnooką lwicą zabawić — pomyślał Kraski.

Po śniadaniu poszły panie szosą ku Nowej Pompei, a panowie zostali w hotelu przy czarnej kawie i likierach.

— Cóż strzeliło ci nagle do głowy?— odezwał się teraz Multanowski.—Kiedy się żegnaliśmy w Stem-

powie, nie mówiłeś mi nic o projekcie podróży do Włoch.

— Bo nie miałem zamiaru wyjeżdżać tego roku zagranicę—odpowiedział pan Narowski.

— Zkądże więc ten nagły pomysł?

— Nie w mojej głowie się urodził. Wiesz, że moje małe cierpią na ból gardła. Kiedy zapadły w końcu listopada mocniej, niż zwykle, na kaszel, posyłam po doktora. A on, bo cóż to doktora kosztuje polecić Włochy, Egipt, Chiny, Japonię? mówi: trzeba wyjechać z panienkami na kilka miesięcy do ciepłego klimatu.

— I wyjechałeś?

— Wyjechałem, ale nie od razu. Zona, naturalnie, zgadza się natychmiast bez namysłu. Dzieci trzeba ratować; takiej choroby nie można zaniedbywać!—Rozumie się, że nie można, odpowiadam, dla czegoż jednak zaraz do Włoch; czasy takie ciężkie, o gotówkę trudno, nie wiadomo, jak związać koniec z końcem.—A pani na to: Choćbyś się miał zapożyczyć, jechać musimy. Cóż ci po majątku, gdy ci dzieci pomrą?—Ale dla czegoż mają zaraz umierać?—bronię się. Połowa polskich dzieci i niedzieci kaszle w jesieni i zimą—i żyje. Wystarczy pilnować, żeby się dziewczęta nie przeziębiły, a kaszel ustąpi po użyciu zwykłych środków łagodzących.

— Rozumie się.

— Rozumie się, w twojej i mojej głowie, mężczyzny wogóle, ale nigdy w głowie kobiety, matki. Męża zrujnuje, majątek sprzedaje każda prawdziwa kobieta, gdy jej się uwidzi, że ocali w ten sposób dzieci.

— Nędzną przyszłość gotuje dzieciom, kto je pozbawia środków niezależności.

— Naturalnie, ale tak daleko nie sięga wzrok przeciętnej matki.

— W takim razie powinien jej ojciec wolę swoją narzucić.

— Gdy się ożenisz, przekonasz się, czy to tak

łatwo narzucić wolę naszej polskiej kobiecie. Może inne nacye potrafią tę sztukę, ale u nas bardzo to trudne zadanie. Nie jestem pantoflem, jak ci wiadomo, mam nawet opinię bezwzględnego męża, a jednak wychodzę zawsze z każdej utarczki małżeńskiej pobity na łeb, na szyję. Sam dyabeł nie wytrzymałby w ogniu niewieścich złych humorów, zapłakanych oczu, cichych westchnień, płaczów, systematycznego milczenia, głośniejszych lamentów w końcu. Każda łyżka strawy, którą niesiesz do ust, dławi cię, jak ohydna mikstura, drażni cię bez powodu służba, zawadza ci pies, gniewa cię robota w podwórzu, robisz brewerye, nie wiadomo o co, krzyczysz, drzesz się na wszystkich i wszystkich, niby głupia sroka na płocie, aż ci się to całe piekło domowe sprychny i kapitulujesz.

— A po kapitulacyi?

— Naturalnie, że miłe uśmiechy, szczerbiot serdeczny: kochany mężusiu, jakiś ty dobry, pocziwy, no, i całusy, i t. d., zwyczajnie pogoda, słonko po burzy.

— I jazda w świat?

— A jakże. Sprzedajesz przyszłoroczną porębę, zboże pod śniegiem, siano pod lodem, cobądz, duszę, gdyby ją kto zechciał kupić, ekwipujesz panią, panienki i jedziesz do Neapolu.

— A potem?

— Kto u nas pyta, co będzie potem? Jakoś to będzie.

— Myślałem, że wygralesz na loteryi, albo może odziedziczyłeś niespodziewanie sporo grosza.

— Żartujesz sobie ze mnie, jakbyś nie wiedział, że obywatela ziemskiego dziś wszyscy opuścili: dobre i złe duchy, anioły, dyabły, kredyt i Fortuna. Pieniądze idą do pieniędzy, a pieniądze trzymają się tylko kapitału. Ale my hrabiego nudzimy naszą biedą domową i wiejską.

— Bardzo proszę, słuchałem z wielką przyjemnością — rzekł Kraski — i polecam Edmundowi

pańską doskonałą charakterystykę t. zw. ciepła ogniska domowego. Przyda mu się wkrótce.

— Czyżby miał jakie zamiary?

Szybko, jak gdyby go sprężyna podrzuciła, podniósł się Multanowski.

Szczęśliwy, upojony marzeniem miłosnem, żyjący od dni kilku więcej nawewnątrz, aniżeli nazewnątr, zamykał instynktownie duszę przed jaskrawem światłem rzeczywistości, lękając się nieświadomie jego blasków bezlitosnych, które rozpraszają zawsze barwne tęcze pięknych złudzeń. Nie chciał, aby ktokolwiek podpatrzył tajemnicę jego serca, aby ją plotkarska ciekawość splamiła niepożądanymi uwagami i radami. Tak prowadzi przebiegły Amor, doskonały psycholog, ofiary swoje z zamkniętymi oczyma i uszami na kobierzec ślubny, zmuszając je do służenia prawom natury.

— Jeżeli mamy zdążyć na pociąg neapolitański, trzeba odszukać panie, bo słyszę już pierwszy dzwonek—rzekł Multanowski, jakkolwiek do pociągu było jeszcze dość czasu.

Nie potrzeba było pań szukać, siedziały bowiem przed dworcem, na ławce, przeglądając różne drobiazgi, wyrzeźbione z lawy. Już miały czas zapoznać się, powiedzieć sobie mnóstwo uprzejmości, zbadać nawzajem każdy szczegół toalety.

Nie biorąc udziału w targach z przekupniem, stała na uboczu pod drzewem pomarańczowem nauczycielka panien Narowskich, panna Zofia Ziółkowska. Zasłoniwszy się różową parasolką od słońca, czytała jakąś książkę tak uważnie, że nie zauważyła Multanowskiego, który się do niej zbliżył. Dopiero kiedy do niej przemówił, podniosła na niego duże, czarne, bardzo ładne oczy.

— Pani zawsze z książką, panno Zofio? — odezwał się Multanowski.

— Cóżbym robiła z moim wolnym czasem, gdyby nie było na świecie dobrych książek? — rzekła. — To moja cała przyjemność.

Po jej młodych, różowych ustach przewinął się uśmiech smutny.

Z boku, zmrużywszy powieki, przypatrywał się jej Kraski okiem znawcy. Średniego wzrostu, smukła, wiotka w pasie, ubrana w szarą sukienkę podróżną, w kapelusiku angielskim na bogatych włosach, obuta doskonale, zrzeczna w ruchach, mogła się podobać każdemu smakoszowi piękna kobiecego.

— Ładna—zawyrokował Kraski w myśli, zrobiwszy przegląd rysów, linii, karnacy i ruchów panny i podszedł do niej.

— Czy wolno zapytać, jaką lekturą pani trzodzi swoje śliczne oczy?—rzekł z uprzejmym uśmiechem na ustach.

Panna Ziółkowska, zamiast odpowiedzieć, pokazała mu kartę tytułową książki.

— „Historya rozwoju ruchu kobiecego” Lilly Braun—czytał Kraski. Panią to zajmuje?

— Bardzo.

— Naprawdę?

— Pana hrabiego to dziwi?

— Trochę. Wystawiałem sobie, że takie nudne książki zajmują tylko stare, brzydkie panny. Nieprzypuszczam ani na chwilę, żeby pani mogła należeć do sekty feministek.

— A gdyby jednak tak było?

— W takim razie byłbym bardzo ciekawy słyszeć, w jaki sposób odzywa się feminizm przez ładne usta.

— Służę panu hrabiemu z przyjemnością.

— Będzie pani miała uważnego słuchacza.

Głuchy turkot nadchodzącego pociągu przetrwał ich dialog.

Bardzo było towarzystwo polskie zadowolone, że znalazł się próżny przedział, w którym się wszyscy mogli pomieścić.

— A teraz, kiedy sztywno dystygowane żony szbogaconych szewców angielskich, które udają za granicą lordowe, nie będą się gorszyły szorstkimi

dźwiękami naszej mowy, możemy rozpocząć dysputę— rzekł Kraski, skłoniwszy się lekko w stronę panny Ziółkowskiej.

— O co to państwu idzie? — wtrącił pan Narowski.

— Pan hrabia jest ciekawy moich poglądów na feminizm—objaśniła panna Ziółkowska.

— Aaa... Jest ciekawy dowiedzieć się, jacy my to tyrani, egoiści, my, tak zwana pleć mocna. Niech licho weźmie tę naszą moc i tyranie. A jakże.

Mówiąc to, spojrział pan Narowski z ukosa na swoją połowicę, która uśmiechnęła się ironicznie.

— A jednak nie zaprzeczy pan, że mężczyzna jest dotychczas w istocie tyranem kobiety—mówiła panna Ziółkowska. — Całe prawodawstwo przeszłości, ukute przez tyrana-mężczyznę oddało kobietę pod moc mężową, jak się wyraża Pismo św., odebrawszy jej prawa obywatelskie i polityczne i zamknąwszy dla niej źródła zarobkowania, czyli możliwość zdobycia niezależności materialnej. Jakże takie pogwałcenie praw człowieczych kobiety nazwać? Chyba tylko tyranią.

— Papierową, panno Zofio! Bo tylko na papierze rządzi mężczyzna, w rzeczywistości zaś wodzi go kobieta za nos na prawo, na lewo, gdzie jej się tylko podoba.

— Pan dobrodziej jest widocznie antyfeministą z doświadczenia — odezwał się Kraski uszczypliwie.

— Trochę — odrzekł pan Narowski, nie obrażając się przymówką hrabiego. — Pocięszam się tem, że takich doświadczonych antyfeministów było i jest w Polsce bardzo dużo, całe wojsko. Wszakże bijał Jan Sobieski srodze Turki i Tatarzy, a przed Marysieńką stulał uszy, jak pierwszy lepszy pantoflarz.

— Sprawy tak poważnej, jak obecny ruch kobiecy, nie można zbyć drwinkami — mówiła panna Ziółkowska, zapalając się, podnosząc głos. — Tu idzie o szczęście kobiety, o jej przyszłość, a panowie zar-

tuja. Księgi święte wszystkich ras uczą, że mężczyzna i kobieta żyli pierwotnie obok siebie, jako dwie połowy człowieka zupełnie sobie równe, współrzędne. Dopiero z czasem nastąpił między mężczyzną a kobietą rozdział i dusza ich rozdzieliła się, poszła różnymi drogami. Rozdwojenie to nastąpiło wówczas, kiedy miejsce prawodawców-mędrców zajęli prawodawcy-wojownicy, którzy prawo pięści i przemocy postawili po nad prawem rozumu i sprawiedliwości. Oni to, brutalni, fizycznie silniejsi wojownicy ujarzmili kobietę, rzucili ją pod swoje stopy, skrupowali jej swobodę, okuli ją samolubnymi prawami, służącymi tylko mężczyźnie. Od pierwszych legendowych bohaterów począwszy, aż do Napoleona Wielkiego, pracowali wojownicy wytrwale, aby zepchnąć kobietę do stanowiska niewolnicy.

Kiedy Kraski myślał nad tem, gdzie to wszystko czytał, bo przypominał sobie, że czytał gdzieś takie same frazesy, odezwał się pan Narowski.

— To szczególnie, że pleć, ujarzmiona przez wojowników, kocha właśnie najgoręcej owych łajdaków wojowników, którzy ją okuli w kajdany okrutnej niewoli. Każda z panien marzy w pierwszej wiosnie życia o jakimś królewiczu, bohaterze, rycerzu, przenosząc ich nad mędrców-dobrodziejów. Nawet Kasie i Marysie wiejskie uśmiechają się najchętniej do Bartków i Wojtków, gdy owi Bartkowie i Wojtkowie siedzą na koniku w ułańskiej czapce na łbie, z szabelką przy boku. Ręczę, że gdyby tak przed panią, panno Zofio, stanął książę Józef Poniatowski, albo nawet ten gałgan Napoleon ze swoim kodeksem w garści i rzekł: „Kocham cię, śnie moich snów, marzenie moich marzeń!” toby wszystkie feministyczne zapaly pani drapnęły co tchu tam, gdzie pieprz rośnie i byłoby weselisko siarczyste.

Nawet Multanowski, który słuchał jednym uchem, upojony odurzającym ciepłem panny Wanddy, obok której siedział, o którą się mimowoli ocierał, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

A panna Ziółkowska zaczerwieniła się, jak indyk rozgniewany.

— I cóż panno Zofio? — drażnił ją pan Narowski—oddalały pani swoją ładną, pulchną rączkę Napoleonowi?

— Z panem nie można o niczem poważnie rozmawiać — wybuchnęła panna Ziółkowska.

— Mówię w tej chwili zupełnie poważnie. Jeżeli wojownicy ujarzmili kobietę, to powinna ich kobieta nienawidzić. Tak rozumuje logika mężka. Zaproszę na lato do Stempowa jakiego bardzo nudnego profesora, mędrca, gadułę i będę panią swatał. Zobaczymy, czy się pani będzie podobał.

Wydrwiona tak niemiłosiernie, zamilkła panna Ziółkowska. Łzy bezradności sperliły się w jej oczach. Dostrzegł je Kraski, siedzący naprzeciw niej, i żał mu się zrobiło ładnej dziewczyny.

Więc powtórzył kilka frazesów, które także gdzieś czytał:

— Nie ulega wątpliwości, że mężczyzna nadużywał, jako prawodawca, swojej przewagi fizycznej w stosunku do kobiety, że był egoistą, gdy szło o wolność tak zwanej płci słabej. Kobiecie należą się te same prawa, co mężczyźnie, jest ona bowiem tak samo człowiekiem, jak on.

— Tylko odrobinczkę innym — wtrącił pan Narowski, spojrzawszy znów ukośnie na swoją połowicę.

Spojrzenie panny Ziółkowskiej, promieniejące szczerą wdzięcznością, wynagrodziło sownie uprzejmą pomoc Kraskiego.

— O tak, kobieta jest człowiekiem—rzekła — pełnym człowiekiem i powinna zdobyć wszystkie prawa ludzkie. Do tego właśnie dąży obecny ruch kobiecy i dojdzie niewątpliwie wkrótce tam, dokąd zmierza.

— Winszuję przyszlęmu pokoleniu męzkemu, ale nie zazdroszczę — zauważył pan Narowski. — Teraz wodzą nas kobiety za nos, a potem, gdy się

staną owym człowiekiem, gdy im ręce w walce o byt zgrubieją, gdy się wzmocnią, będą nas darły za łeb, jak ja tego kundla Jaśka, mojego lokajczyka, kiedy mi co spsoci. Bardzo jestem kontent, żem się ożenił przed dojrzeniem onego człowieczeństwa kobiety.

— Czy i panią zajmuje feminizm? — zapytał Multanowski półgłosem pannę Wandę.

Spojrzała na niego z uległością kochającej dziewczyny.

— Zdaniem mojem jest przeznaczeniem kobiety małżeństwo, a siłą jej miłość, i dlatego nie zajmuje mnie wojownicza wrzawa feminizmu—odpowiedziała, rumieniąc się lekko.

Przytuliła się do niego i było im z tem tak dobrze, iż nie słyszeli już dalszej dysputy panny Ziółkowskiej z panami.

VI.

— Mógłbyś się nareszcie już raz oświadczyć, bo ta stara prowincjonalna arystokratka traci codziennie na wadze, trawiona gorączką męczącego oczekiwania—mówił Kraski.

— Jaka znów arystokratka prowincjonalna? — zapytał Multanowski.

— No, ta twoja przyszła belmera.

Siedzieli w kawiarni, przeglądając gazety. Przez pewien czas przypatrywał się Kraski milczącemu Multanowskiemu z po za rzymskiej *Tribuny*, potem rzekł:

— Niepotrzebnie obawiasz się mnie i zamykasz duszę swoją przedemną, jak przed wrogiem. Odradzać ci nie będę, choćby tylko dlatego, że wszelkie tak zwane rozsądne rady byłyby już spóźnione. Kto się zakochał, a widzę doskonale, że cię Amor trzyma za kołnierz, jak swoją zdobycz upolowaną, tego nie przekona nawet salomonowe słowo.

Groch to na ścianę, głucho echo w puszczy; każdy argument, wykazujący niewolę Hymenu, odpięra Kupidynek pogardliwym uśmiechem i lekceważącym milczeniem, wie bowiem, że niema na świecie tak potężnego argumentu, któryby zdołał pokonać czar jego marzeń i obietnic. I jest dobrze, że Amor przesłania oczy swoich ofiar różowym welonem, gdyby bowiem było inaczej, przestałoby istnieć prawowite małżeństwo, a z niem razem upadłaby i rodzina, wszelkich cywilizowanych społeczeństw cement najmocniejszy. Tak zwana wolna, czyli właściwie swawolna miłość, rozpetana z obowiązków, rozhułałaby się na dobre, burząc cały porządek społeczny. Widzisz, że nie jestem przeciwnikiem małżeństwa i dlatego obawiasz się mnie niepotrzebnie.

— W takim razie nie rozumiem, dlaczego nie założyłeś dotychczas własnej rodziny—odezwał się Multanowski.

— Nasamprzód dlatego, że nie posiadam talentu do trwałego kochania. Urodziłem się starym kawalerem, jak inni przychodzą na świat doskonałym materyałem na potulnych mężów.

— Nie kochałeś się nigdy?

— Kochiwać, kochiwałem się często, ale kochać w rozumieniu szlachetnem tego uczucia nie kochałem się nigdy. Podobała mi się na miesiąc, dwa, trzy, czasami i dłużej każda ładna kobieta, a że kobiet ładnych widziałem dużo w mojem życiu koczowniczem, przeto nie miałem nigdy czasu do wkochania się w jedną aż do tego stopnia, iżbym pragnął z nią związku dożgonnego.

— Nie powiem, żeby taki temperament miał podkład etyczny.

— Możesz go nazwać egoistycznym—nie będę przeczył, ale cóż na to poradzić, kiedy takie temperamenty istnieją i to nietylko wpośród mężczyzn. Są także kobiety które się rodzą motylami, które przenoszą wolność nad małżeństwo. Zwykle spotykają się w życiu motyle męskie i żeńskie, i dlatego

nie dzieje się ludzkości porządkowi społecznemu wielka krzywda, takie bowiem przelotne związki nie kończą się tragedją.

— Idąc dalej w tym kierunku, gotoweś dojść do apoteozy wolnej miłości.

— O tem ani myślę, tłómaczę tylko siebie, odpowiadam na twoje pytanie: dlaczego nie założyłem własnej rodziny? Był jeszcze powód drugi. Jestem nie z mojej winy i zasługi hrabią, żonaty zaś hrabia bez znacniejszego majątku robi wrażenie karykatury. Ponieważ, jak ci wiadomo, z magnackiej fortuny mojego domu zostało tak niewiele, iż starczy zaledwie dla mnie na skromne życie, przeto byłbym zmuszony szukać bogatej erytyerki, jakiejś bankierówny, kupcówny lub kogoś w tym rodzaju, a taki ordynarny handel tytułem, nazwiskiem, obraża mój smak estetyczny. Oto powody, dla których jestem i będę starym kawalerem, czego jednak tobie nie radzę, bo widzę, że tęsknisz za własnem ogniskiem domowem, jak marynarz tęskni po odbyciu dalekiej drogi za stałym lądem. Odbyłeś daleką drogę pracy i trosk, przeto zawijaj do przystani małżeńskiej, w której dziewięć dziesiątych ludzkości, tak mężczyzn jak kobiet, szuka ciszy, ciepła, szczęścia.

— A znajduje?—pytał Multanowski.

— Zależy to od charakterów, łączących się par i od warunków, w jakich się ich życie będzie rozwijało. Co do ciebie i panny Wandy, nie omylę się może, stawiając wam horoskop pomyślny, wnosicie bowiem oboje do małżeństwa wzajemny afekt i prawe, uczciwe natury. Nie znam wprawdzie panny Wolińskiej tak dobrze, jak ciebie, ale zdaje mi się, że jej jasne, szczerze oczy i jej otwarta, dobra buzia nie kłamią. Wychowana w warunkach skromnych i w staroświeckich zasadach naszych dworów wiejskich, panna Wanda powinna być dobrą, kochającą żoną, co daj Boże. Amen.

— Dziękuję ci, Rodrygu—rzekł Multanowski głosem wzruszonym.

— Jeżeli w pierwszych dniach twojej znajomości z panną Wolińską spoglądałem kosem okiem na budzący się w was pociąg wzajemny, miałem na względzie twoje położenie materialne. Jesteś wprawdzie obecnie zamożnym obywatelem ziemskim, za możność jednak kawalera, jednostki bez żadnych dodatków, bywa czasem ubóstwem żonatego. Za żoną z naszych sfer wlecze się, nie licząc już dzieci, długi łańcuch służby, krewnych obowiązków, czyli wydatków, na których zaspokojenie jeden folwark nie starczy. Nad tem pomyśl, nim się zwiążesz słowem.

Multanowski myślał już nad tem, zbyt bowiem długo ocierał się o niedostatek, aby mógł lekceważyć materialną stronę życia, ale myślał tak, jak myśli o przeszkodach natura energiczna, czynna, która brała przeszkody odważnie, potykała się bez obawy z przeciwnościami.

Kiedy obejmował ruiny ojcowizny, nie wierzył nikt w całej okolicy, że wyjdzie zwycięzcą z boju z wierzycielami. Młodzi podrzywali z jego uporu, a starsi wzruszali ramionami, myśląc: Szkoda jego pracy i zdolności administracyjnych; gdyby się postarał o zarząd jakich większych dóbr, mógłby się z czasem dorobić, a tak zmarnieje... A on wymazywał cierpliwością z hipotek jeden dług po drugim, powiększał rządnością dochody majątku, z każdym rokiem bogatszy. Teraz nie drwią już z niego rówieśnicy, starsi kiwają głowami, a Żydzi w Warszawie zdejmują przed nim czapki, szwargocąc: *Aj, aj, der purec hat a Köpete...*

Kto stał w ogniu, takim lub innym i ocalał, ten przestaje się lękać groźby zakrytego jutra i lekceważy niebezpieczeństwo. Stary żołnierz idzie na kule, jak do tańca, podnieca się, upaja wrzawą bitwy, doświadczony pracownik chwyta ubóstwo śmia-

ło za szczękę bezzebną i boryka się z niem ochoczo, jak z niemocnym straszylem.

Multanowski wiedział bardzo dobrze, że panna Wolińska nie wniesie mu w dom znacznego posagu i zastanawiał się nad swoim położeniem materialnym na wypadek, gdyby zaślubił dziewczynę prawie ubogą, wszelkie jednak rady i uwagi, jakie ma trzeźwy rozsądek i doświadczenie życiowe podsuwały, bladły, wędły, traciły moc przekonywającą, pokonane optymizmem natury energicznej, świadomej swojej siły: Dawałem sobie dotychczas radę, to nie zginę także, choćby się wydatki miały powiększyć... W tem dobrem o sobie mniemaniu podtrzymywał go, oczywiście, swawolny Amor, nie troszczący się po złączeniu swoich ofiar o ich dalsze losy. Rzeczą jego zapalić pochodnię Hymenu, aby ród ludzki nie zaginął, a potem niech się dzieje, co się życiu, rzeczywistości będzie podobało...

— Namysliłeś się? — odezwał się Kraski po dłuższem milczeniu.

Multanowski schylił głowę potakująco.

— I nie boisz się biedy?

— Straszna nie była mi nigdy ta tyranka.

— W takim razie oświadczaj się jaknajprędzej i żeń się, choćby jutro. Zamknij oczy i chlust do wody. Ale mówmy o czem innem, bo Narowski nadchodzi.

— A, jesteście panowie?—odezwał się pan Narowski, wyświeżony, wyelegantowany, z bukietkiem fijołków w butonierce, z podkreconym w górę wąsem.—Czy wolno?

— Prosimy bardzo.

— *Cafe nero!*—rozkazał Narowski służącemu, siadając przy stoliku, zajętem przez przyjaciół.

— Już się pan po włosku nauczył?—zapytał zapytał Kraski.

— Tyle mojej włoszczyzny, ile jej na pierwszych stronicach „Baedekera“, a szkoda, bo wartoby trochę z Włoszkami poflirtować. Czasem ja-

kaś czarna bestyjka zerknie tak zalotnie, tak obiecująco ognistemi ślepkami, jakby się prosiła o całusa, a tu ani rusz zbliżyć się, bo jakże do niej przemówić?

— Z Włoszkami można się i na migi porozumieć; one tego zwyczajne, ocierają się ciągle o cudzoziemców, ale coby na to pani Narowska powiedziała?

— Pani Narowska swoją drogą, a flirt swoją.

— To dlaczego się pan żenił?

— Jaki z hrabiego moralista, fiu, fiu. Wierzyłby kto, że na seryo; a jakże. Po com się żenił? Albo ja wiem, po co? Dziewięć dziesiątych mężczyzn nie wie, dlaczego, na co się właściwie żenią, bo gdyby się dobrze nad znaczeniem małżeństwa zastanowili, nie lecieliby do ołtarza, niby głupie barany w ogień. Żenił się ojciec, dziad, pradziad i tam dalej w górę, więc żeni się syn, wnuk, prawnuk i tam dalej na dół, wierząc święcie, że złapie rajskiego ptaka szczęścia za ogon.

— A chwytają?

— Jak się zdarzy. Czasem wierną, ale nudną połowicę, czasem złą, kapryśną, ale w chwilach dobrego humoru przyjemną towarzyszkę, czasem biedę, troskę, dobrobyt, tragedję ze spazmami, kome dyę z dziecinnymi żądaniami — rozmaicie — rzadko jednak to, czego mężczyzna szuka w małżeństwie.

— Mianowicie?

— Spokoju! Kobieta robi w domu ciągle o coś piekło, to o służbę, z którą nie umie sobie radzić, to o dzieci, które psuje przesadną troskliwością o ich zdrowie, rozbite noski, sińcami pokryte czoła, to o bieliznę źle wypraną, chleb niedostatecznie wypieczony, plotki sąsiadek, lichy zresztą wie o co, o drobnostkę, o byle co, a ty, mężu, któryś się namachał przez cały dzień na szkapie, nauzerał z rządzą, z chłopami, z Żydem, wysłuchuj cierpliwie jej lamentów, bo jeżeli cię te babskie bzdurstwa zniercierpliwia, zaraz fochy, grymasy, lzy: A nie ko-

chasz mnie, jesteś tyran, zły mąż, zły ojciec, o la Boga, dyabeł, tygrys, okrutnik.

— Cóż pan w takim razie robi?—zapytał Kraski z uśmiechem sarkastycznym.

— Czapę na łeb, bat w garść, jazda w pole, i jeżdżę dopóty, dopóki szkapisko nie padnie na pysk, a ze mnie pot nie spływa ciurkiem.

— Czyli rejterada—zaśmiał się Kraski.

— Hrabiego to bawi, wierzę. Łatwo urągać kawalerowi, który nie czuje nad sobą bata sakramentu.

— Ten bat sakramentu ma, jak uważam, także swoje dobre strony. Nakłada on na nasze niewierne, za ciągłą zmianą gonące natury męskie, hamulec obowiązku, zmusza nas do uszanowania w uczciwej kobiecie godności ludzkiej.

— Jak kogo, szanowny moralisto. Takie natury, jak moja, wybuchliwa, żywa, zapalająca się i stygnąca prędko, nie umieją się długo gniewać, przebaczą łatwo. Nie zaprzeczę jednak, że sakrament, że małżeństwo prawowite jest potęgą. Gdyby się kochance zachciało ciosać kołki na głowie mężczyzny, powiedziałyby się poprostu: drzwi otwarte, mościa panno, proszę... a od żony znosi się wszystkie nieprzyjemności cierpliwie i jeszcze się ją za to przeprasza.

— Bo i żona musi znosić cierpliwie zmienną pogodę wspólnego pożycia dwojga ludzi, złączonych z sobą przysięgą, obowiązkami; bo i ona odczuwa na sobie niewygodę skrepowanego indywidualizmu i bierze czynny udział we wszystkich troskach i smutkach domu — odezwał się Multanowski, który dotychczas milczał. — Nie rozumiem, dlaczego mężczyzna stosuje tylko do siebie ujemne strony małżeństwa, jak gdyby im kobieta wcale nie podlegała. Ale dajmy pokój tej bezcelowej gadaninie, która małżeństwu ani zaszkodzi ani pomoże. Zawsze będzie normalna kobieta pragnęła całą duszą własnego ogniska, zawsze będzie zdrowy duchowo mężczy-

zna szukał w kobiecie swojego dopełnienia, najlepszego, najwierniejszego przyjaciela. Takie jest prawo natury, silniejsze od najsubtelniejszej argumentacji najwymowniejszego krytycyzmu. Ty sam, pozornie niby taki srogi sędzia małżeństwa, namyśliłbyś się dziesięć razy, zanim byś się zgodził na urzędową separację z żoną.

— Niech Pan Bóg broni—zawołał Narowski, szczerze przerażony. — Coby w domu sam robił?

— A widzisz. Bo wiesz bardzo dobrze, że na wypadek choroby znudzisz swoim niedołęstwem nawet brata, siostrę, ale żona będzie cię pielęgnowała aż do zemdenia, bo jesteś przekonany, że w razie nieszczęścia ona jedna cię nie opuści, wierniejsza od najwierniejszego przyjaciela.

— Brawo, bis!—odezwał się w tej chwili za plecami panów głos niewieści.

Obejrzeni się i zerwali się z krzeseł, bo z poza filaru ukazała się pani Narowska. Weszła do kawiarni drzwiami od ulicy i usłyszawszy ożywioną dysputę, przystanąła.

Bardzo rzadką minę minę miał Narowski w obliczu swojej połowicy, która mu pogroziła palcem

— Należy się panu wieniec laurowy od płci słabej—zwróciła się do Multanowskiego - ale o tem potem. Tymczasem obmyślił coś na dzisiejszy wieczór, abyśmy się nie czuli w dniu wigilii na obczyźnie zanadto osamotnieni. Idzie o to, czy się panowie zgadzają na wspólną wieczerzę wigilijną?

— Naszej polskiej wieczerzy nie umiemy kucharze włoscy przyrządzić—zauważył Kraski.

— Pomyślałyśmy już o tem. Panna Wanda raczyła wziąć na siebie kluski z makiem i kapustę z grzybkami, panna Zofia zupę migdałową, ja gotuję i smarzę ryby, panu hrabiemu przeznaczyłyśmy ubranie stołu, pan Edmund zakupi drobne podarki, mój mąż zaś, znawca trunków, dostarczy win. Czy zgoda?

— Jesteśmy paniom bardzo wdzięczni za doskonały pomysł odezwał się Kraski.—Szkoda tylko, że nie mamy opłatków.

— Gospodyni stempowska przysłała mi dziś w liście kilka ułamek, które starczą dla nas.

— W takim razie zabierajmy się żwawo do roboty, bo wieczór niedaleki.

Pierwsza gwiazda błyszczała już dawno na niebie, kiedy zadzwoniono w hotelu do obiadu. Sala stołowa nie zmieniła swojego zwykłego wyglądu. Oberżycie nie przyszło na myśl przypomnieć dzień uroczysty, choćby wytworniejszą zastawą stołu tym wszystkim ptakom wędrownym z różnych stron kuli ziemskiej, których wigilia zastała na obcej ziemi. Gdyby one same nie były pomyślały o święcie, nie byłby nikt w hotelu wiedział, że świat chrześcijański wita w dniu dzisiejszym początek nowej ery pnącego się ku wyżynom doskonałości rodu ludzkiego.

Mnóstwo rąk niewieścich pracowało skrzętnie aż do samego wieczora. Angielki i Amerykanki wiły bukietki i szyły z czerwonego płótna woreczki w kształcie pończoszek.

Kiedy międzynarodowe towarzystwo zasiadło do stołu, znalazł każdy gość przy swoim talerzu kwiaty i czerwoną pończoszkę, napełnioną różnymi drobiazgami: kilka orzechów, suszonych rodzynek, śliwek, piernik i karmelek trzaskający.

Poważne *ladies* angielskie rozruszały się, zaczęły się śmiać wesołym, szczerym śmiechem szczęśliwych dzieci, kiedy rozległ się szelest trzaskających karmelków i z każdego z nich wypadło jakieś nakrycie głowy z kolorowej bibułki, to czapka frygijska, to czepeczek hiszpański lub korona. Wszyscy panie i panowie, postraili się wśród ogólnej uciechy w te szmatki papierowe.

Obiad podano zwyczajny, mięsny, jak codziennie. Tylko od stołu polskiego wiały mocne zapachy migdałów, grzybów, kapusty.

Z wielkim smakiem wywiązał się Kraski ze swojego zadania. Stół oplótł dokoła zieloną girlandą, przetkaną białymi i amarantowemi kameliami, każdą serwetę przyozdobił różą, między talerzami rozrzucił fiołki parmeńskie, dla pań przygotował bukiety, dla panów butonierki. Uwagę wszystkich zwrócił na siebie duży bukiet z białych róż, przewiązany szeroką, białą wstęgą, leżący na miejscu panny Wandy. Gdy go pytano, dlaczego wybrał dla niej białe kwiaty, uśmiechał się tajemniczo.

Ciekawie przypatrywali się Anglicy i Amerykanie, sami protestanci, łamaniu opłatka; w oczach ich było widać zdziwienie, gdy się panowie przy życzeniach całowali.

Nad stołami unosił się szmer powszechny, przerywany od czasu do czasu wybuchami wesołości, podniecanej winem. Nawet służba ruszała się dziś swobodniej, pozbywszy się sztywności tresowanych pudłów.

— Jak to dobrze, że się swoi spotkali na obcej ziemi — odezwał się Kraski. — Gdyby nie ten szczęśliwy przypadek, byłby każdy z nas zmuszony spędzić wieczór wigilijny na samotnych medytacjach. Tak wielką jest siła zwyczaju, iż nawet jednostki, pozbawione sentymentalizmu, czują się pokrzywdzone, gdy muszą się z jakichkolwiek powodów wyrzec udziału w uroczystościach tradycyjnych.

Z wielką zręcznością pełnił urząd stolnika. Prowadził wzrokiem ruchy służby, podsuwał paniom półmiski, napełniał ich kieliszki, bawił je charakterystyką zwyczajów włoskich podczas świąt Bożego Narodzenia.

Nie długo się trzymał, do sali bowiem weszła gromada śpiewaków i śpiewaczek ulicznych w barwnych kostyumach narodowych, zwracając na siebie uwagę całego towarzystwa.

W ciszy, która zapanowała, rozbrzmiał hymn

angielski, wykonany na mandolinach. Stojąc, z uszanowaniem wysłuchały dzieci Albionu swojego *God save the King*.

— Ludowi włoskiemu zdaje się, że każdy cudzoziemiec musi należeć koniecznie do rasy anglosaksońskiej i dlatego słyhać tu wszędzie na ulicach, w kawiarniach „Boże zachowaj króla!” — objaśnił Kraski.

Złożywszy hołd potężnej władczyni mórz i lądów, zabawiła trupa śpiewacza *forestierów* swoim repertuarem neapolitańskim. Popisywali się soliści i solistki, obchodząc po każdym „kawałku” dokoła stołów z tacką; śpiewano humorystyczne duety, podkreślone żywą mimiką i namiętnym gestem południowców, tańczono w końcu.

Kraski słyszał już tyle razy tego rodzaju koncerty, iż mu śpiewy i tańce nie przeszkadzały wcale w pełnieniu służby uważnego stolnika; Multanowski, siedzący obok panny Wandy, zarumienionej winem i odblaskiem płomienia, który ogarnął jego serce, zapomniał obok ukochanej o całym świecie, Narowskiego zaś zajmowały więcej ładne buzie i zgrabne nóżki śpiewaczek, niż ich gardziółka słowicze. Ile razy mu się zdawało, że pani żona nie zwraca na niego uwagi, lustrował uliczne artystki od góry do dołu wzrokiem znawcy, jedną z nich nawet, gdy stanęła tuż przy nim z tacką, uszczyptał w obnażony łokieć. Manewry męża widziała pani Narowska bardzo dobrze i czarna jej brew marszczyła się groźnie, co zaostrzało ostrożność amora wdzięków niewieścich. Uważniejszą jednak od jego ostrożności było czujne oko władzy małżeńskiej, w chwili bowiem, kiedy się jego ręka skradała do pulchnego ramienia drugiej śpiewaczki, przycisnęła pod stołem jego nogę inna noga tak mocno, że aż syknął. Schwytny na grzechu, uważał za rozpurne rejterować. Więc rzekł, wydawszy wargi pogardliwie:

— Nie wiem, gdzie mają oczy ci, co chwala

urodę kobiet włoskich. Przyglądam się rozmyślnie dla studyów wszystkim Włoszkom i nie widzę w nich nic takiego, coby się mogło podobać.

Zadowolony z siebie, że zażegnał w tak dowcipny sposób wiszącą nad nim scenę małżeńską, spojrział na żonę uległym wzrokiem posłusznego niewolnika.

Ale niewierny uśmiech pani odpowiedział mu: Znam ja te twoje studia, stary bałamuciel!

Przeto wysączył na pociechę całą lampkę musującego wina.

— Trochę mdły ten szampan włoski—zauważył, krzywiąc się, co go nie powstrzymało od nalania sobie drugiej lampki.

Ogromnie bawiła ta szermierka małżeńska Kraskiego, który posiadał dar odgadywania prawdy ze spojrzeń, z poruszeń ust i ze słów nieszczerých. Zdawał on sobie od tej chwili dokładnie sprawę z wzajemnego stosunku państwa Narowskich. On, zmienny, wrażliwy, w chwilach wybuchu gniewnego gwałtowny, ale po ochłonięciu uległy, potulny, serdeczny... pospolity typ sangwinika i pantoflarza — ona, panująca więcej nad sobą, spokojniejsza, różniejsza, świadoma siły lez i scen domowych, używająca tej broni w razie potrzeby umiętnej... urodzona ujarzmielka lekkomyślnego mężczyzny.

— Temu to nieraz w domu gorąco — myślał Kraski.—Wierzę, że ucieka w pole.

Obiad miał się ku końcowi. Gwar rósł z każdą chwilą, coraz więcej bezładny, zmieszany, powszechny — skutek szeregu próżnych butelek. Poważne *ladies* odsuwały dziś krzesła, przechodząc do salonu hotelowego, nie tak uważnie, bez szalestu, jak zwykle. Fryzura tej i owej zwichrzyła się, twarze nabrały żywszego kolorytu.

W sali stołowej zostało przy czarnej kawie tylko polskie towarzystwo.

A twoje upominki?—zwrócił się Kraski do Multanowskiego.

Multanowski wskazał ręką mały stolik pod oknem, założony albumami, krajobrazami Neapolu i jego okolic. Do każdego podarku była przypięta kartka z nazwiskiem obdarowanego.

— Ach, jaki pan dobry... jaki pan ma gust... jaki ten wachlarz wykwintny—zachwyciła się pani Narowska.

Jedna tylko panna Wolińska nie mogła znaleźć swojego upominku. Nie było go na stoliku.

Zdziwiona, zasmucona stanęła pod oknem. Kiedy się wszyscy cieszyli ładnymi prezentami, jej serce płakało: Dlaczego on o mnie zapomniał... on... o mnie... tylko o mnie jednej? Czybym się łudziła?

Lecz teraz przystąpił do niej Multanowski i wydobywszy z fraka safianowe puzdro, otworzył je i podał.

Przez kilka chwil był wzrok panny Wandy nieruchomy, sztywny, jak oczy biednej ptaszyny, przerażonej nagłym pojawieniem się węża. Z aksamitnego, białego wysłania kusił ją naszyjnik z białoróżowych koralu, ten sam, którego tak bardzo pragnęła, a wśród koralu błyszczał brylantowy pierścionek.

Wszystka krew zbiegła się w sercu dziewczyny. Była tak blada, jak gdyby życie z niej uchodziło; drżała na całym ciele. Domyśliła się, co ów brylant mówi do niej, czego jest zapowiedzią i ogarnął ją nieświadomy lęk, ten dziwny lęk przed nieznanem jutrem, chwytający zawsze mężczyznę i kobietę w chwili, gdy się mają z sobą złączyć na zawsze.

I Multanowski przybladł, kiedy mówił głosem wrzuszonym:

— Czy pani raczy przyjąć z rąk moich tę drobną pamiątkę z Neapolu... z rąk... narzeczonego.

Pochyliła głowę i nie patrząc na swojego

przyszłego męża, wzięła z puzdra pierścioneł, który wsunęła, milcząc na palec serdeczny.

Byli narzeczonymi.

VII.

Wypoczywała ziemia pod śniegową pościelą. Taka biała, czysta, najdrobniejszym prochem nieskalana była ta pościel, jak ślubna suknia dziewicy. Słabo przez szarą zasłonę przeświecające słońce zapalało na niej migotliwe iskry.

Nagie, bezlistne drzewa przydrożne pooblepiała zima takim mnóstwem sopli lodowych, iż świeciły niby ogromne, kryształowe kandelabry.

Siarczysty mróz szedł nad uśpionymi łanami nadwarteńskimi, zmuszając wszelkie żywe stworzenie do pośpiechu, do ruchu. Biada łatwowiernemu, któregoby miękkość i czystość śniegowej pościeli skusiła do spoczynku. Bezlitośnemi ramionami obejmie go mróz, ściśnie go za gardło, za pierś, obezwładni go podstępą sennością, iż obudzi się dopiero na drugim świecie.

Żywej duszy nie było na polach. Kuropatwy i zające zakopały się w śniegu; wrony i jastrzębie zaszyły się w gąszczu leśnym, osowiałe, przerażone; ludzie pokryli się w domach.

Drogą z Poddębic mkną sanki pocztowe, brzęcząc dzwonkami. Skrzypi pod nimi zmarzły śnieg; oddech koni i ludzi zmienia się natychmiast w biały szron, który osiada na grzywach, na brwiach, na wąsach.

Pocztylion spał mocno barani kożuch pasem rzemiennym, czapę naciągnął na uszy, nogi wsunął w worek z sieczką i macha batem nad szkap-skami.

— Ruszaj Łysa! Nie marudź Kara!

Łysa i Kara wiedzą i bez jego bata, że mróz tnie bez miłosierdzia, bo czują jego różgi na własnej skórze. Przeto śmigają, jak opętane. Twarde śnieg pryska pod ich kopytami, rozlatując się do koła, kłęby pary buchają z ich pysków obielonych. Im także śpieszno pod ciepły dach, do pełnego żłobu.

Za plecami pocztyliona, na wiązce grochowin, pokrytej wytartym dywanem, siedzi „pasażer,” tak cały zakutany w futro niedźwiedzie, iż widać mu tylko koniec zaczerwionego nosa i wąsy, umalowane szronem na białe. Siedzi i milczy, bo ktoby miał w taki mróz ochotę do pogawędki?

Dopiero kiedy sanki, wypadłszy z lasu, zaczęły się ślizgać po równej, prostej grobli wśród łąk, ciągnących się z obu stron, odsunął bobrową czapkę z czoła i obrzucił równinę wzrokiem promiennym.

— Różana! — rzekł miękkiem głosem dobrego syna, witającego ukochaną matkę.

To wracał Multanowski do domu.

Zaręczywszy się z panną Wandą, śpieszył do kraju, aby urządzić stary dwór na przyjęcie pani. Leciał przez Włochy i Austryę, jak kurier wojenny. Raz tylko, w Wiedniu, zatrzymał się na jeden dzień, aby dać folgę strudzonym członkom. Wyśiadłszy w Kutnie z wagonu kolejowego, zmieniał ekstrapocztę z Łęczycy, w Gostkowie, w Poddębicach.

Wracał do domu niespodziewanie, nie uprzedziwszy nikogo. Chciał się przekonać, jak się jego administracya i służba zachowują podczas nieobecności pana. Czy pilnują uczciwie powierzonego im dobra?

Już było widać wieś. Na tle bezkresnej pościeli śniegowej czerniała się gromadka niskich domków a od tej szarej gromadki chłopskich chat od-

cinał się obszerny, piętrowy dwór, otoczony ogrodem.

— Gdzie wielmożny pan każe zajechać?—odezwał się pocztylion.

— Do dworu!

Pocztylion sięgnął po starą, pogiętą trąbę, zawieszoną na plecach, z zamiarem ogłoszenia wsi o nadzwyczajnym wypadku. Bo nie codziennie zajeżdżała poczta przed dwór różański.

— Nie potrzeba—rzekł Multanowski.

Nie chciał, żeby trąbka ostrzegła jego ludzi.

— Zarobiłem uczciwie na kieliszek gorzałki, wielmożny panie—przymawiał się pocztylion.—Mróz rozebrał mnie do cna, łązi psia para po kościach, kiej wiatr po dziurawej chałupie. A i szkapskom przydałby się kłak różańskiego siana i szczypta obroku. Zmachały się okrutnie.

Multanowski milczał, zajęty przeglądem podwórza, obok którego właśnie przejeżdżał. Dziwiło go, że nie słyszał turkotu młocarni i nie spostrzegł nikogo przy budynkach, jakkolwiek do wieczora było jeszcze daleko. Czyby wypadło dziś jakie święto? Ale nie. Znał przecież dobrze kalendarz.

Sanki zatrzymały się przed dworem. Ze szczelnie zamkniętego domu nie wybiegł nikt na powitanie pana. Zaspą śniegu piętrzyła się przed gankiem, nie ruszana od tygodnia albo i dłużej, bo zaczęła już czernieć.

— Nie ma tam kogo? — huknął Multanowski głosem gospodarza, przywykłego w polu i w lesie do krzykliwej komendy.

Jego wołaniu odpowiedziało tylko radosne szczekanie psa, idące z ogrodu.

— Leda!—zawołał Multanowski.

Suka wypadła z po za węgła domu i rzuciła się na pana, skacząc mu do piersi, do twarzy, drząc na całym ciełe ze wzruszenia. Piszcziała, szczeakała, skamlała zcicha, jakby się na coś, na kogoś skarżyła.

— Zaniechali sukę? Leda nie chodziła na polowanie?—mówił Multanowski, znosząc cierpliwie zbyt natarczywe objawy radości wyżlicy.

Teraz ukazała się na progu kuchni niska, sucha, siwa kobieta.

— A kto się tam tak drze, jakby się paliło? O, la Boga!

Gospodyni przeżegnała się lewą ręką, poznawszy pana.

— W imię Ojca i Syna... a toć to dziedzic... zara, zara, lece, otworzę duchem.

Podreptała do tylnych drzwi domu. Multanowski, marznąc na dworze, niecierpliwił się, bo trwało dość długo, nim klucz zaskrzypiał w zamku.

— Czy was tu wszystkich morowa zaraza wytłukła, albo co?—fuknął na staruszkę.—Gdzie Jędrek, gdzie stróż, gdzie służba kuchenna?

— Zdrowi wszyscy, jako młode rydze we wrześniu — mówiła gospodyni, całując pana w rękę — ale rozleciało się to gałgaństwo po wsi. Zwyczajnie, kota niema w domu, myszy hulają.

— A rządca?

— Pojechał do trzeciej wsi w konkury, do córki pana posesora. Młody, to mu się żonki zachciewa.

Przy pomocy pocztyliona zniosła starowina walizki z sanek.

— Niech tam Pytłowska pomyśli o łyżce ciepłej stawy i o kieliszku gorzałki dla pocztyliona a mnie proszę podać tymczasem gorącego mleka i kazać napalić w piecu—rzekł Multanowski, wchodząc do domu.

Spojrzał na okna. Mróz ustroił szyby w śnieżne kwiaty i otoczył je listwami lodowymi. Spojrzał po ścianach. We wszystkich kątach srebrzył się szron.

Zaklął pod wąsem.

— A żeby ich.. Nie opalali wcale dworu.

Wszedł do pokoju sypialnego. Tu buchnęło na niego gorąco, przesiąknięte zapachem łoju i potu chłopskiego.

— Ktoś z mojej służby urządził sobie tu kwatere—pomyślał.

Domysł jego potwierdzało nieposłane łóżko, przykryte starym kozuchem. Liberyjna kurtka leżała na krześle.

— To ten urwis Jędrak. No, no...

Zdjawszy futro, rozsiadł się z wielką przyjemnością w dużym, skórzanym fotelu, towarzyszu długiego szeregu kawalerskich, samotnych wieczorów.

— Wszędzie dobrze, w domu najlepiej..

Wszystkimi porami wychodził z niego mróz, ogień uderzył na jego twarz. Przeciągał się, jak pies na słońcu.

Przymknął powieki.

Za kilka miesięcy nie będzie go już tylko wierny pies witał, gdy wróci z drogi do domu. Złotym blaskiem szczerzej radości opromieniona twarz kochającej żony przyjmie go na progu, obejmą go ciepłe ramiona, jasnowłosa głowa przytuli się do jego piersi.

Myśl o tem szczęściu wpływała na jego gniew uśmierdzająco, łagodząco.

Zdziwiła się Pytłowska, kiedy pan, biorąc z jej ręk szklankę mleka, odezwał się głosem obojętnym, jak gdyby mówił o rzeczy najzwyczajszej:

— Ładnieście tu gospodarowali podczas mojej nieobecności.

Weszła do pokoju z duszą na ramieniu, cała dygocąca, bo знаła swojego pana nie od dzisiaj. Sprawiedliwy był, ludzkiej krzywdy nie miał na sumieniu; gdy któremu z czeladników padło bydłatko, albo dziecko zachorowało, pomógł, wsparł chętnem

sercem, nie żałował koni po doktora, pieniędzy na aptekę, ale przestrzegał porządku i umiał dopilnować roboty. Żywy, energiczny, czujny, nie znosił w swoim otoczeniu próżniaków i niechlujów, nie-dbałego parobka zwymyślał, jak burą sukę, nieposłusznych przepędzał na cztery wiatry. Bywało, że i w gębę pyskatego trzepnął, a miał taką siłę w rękę, że mu nikt nie śmiał stawiać oporu.

Gospodyni była przygotowana na burzę, na gwałtowny wybuch gniewu, a pan mówił tak spokojnie, jak gdyby pytał o zdrowie jej kur i gęsi.

Ośmielona łagodnym tonem, oparła się gospodyni plecami o krawędź łóżka, włożyła ręce pod brudny fartuch i rzekła:

— Ii, proszę ja pana dziedzica. Nie stało się wielkie nieszczęście, że się biedny naród trochę zabawi. Walkowy Jantek ma dziś weselisko, to się to całe gałgaństwo z kuchni i podwórza powlokło do karczmy na tańce, ile, że i pan rządcą pozwolił. Wymłóciło się bez mała wszystko, roboty zostało niewiele, to czego żałować ludziom tej krzynki uciechy.

Spojrzała uważnie na dziedzica. Może teraz wybuchnie: on do tego skory, zapalka, gorączka. Kiedy dobry, to go do rany przyłóż, taki grzeczny, ale kiedy się rozsierzdzi, to bierz czempredziej nogi za pas i uciekaj jak najdalej.

— A z kim to żeni się Antek Walkowy? — zapytał pan.

— A to proszę pana dziedzica, upodobał sobie tę grubą Kaśkę starego Wojciecha.

— Dobra z tej dziewczuchy robotnica, zawsze pierwsza na zagonie. Trzeba jej dać jaką młodą krowkę na wiano.

Gospodyni uszom nie wierzy. Co mu się stało? Ani śladu gniewu. To przykazał mu pewnikiem Ojciec święty taką dobroć dla biednego narodu.

Już zupełnie ośmielona zbliża się do pana, całuje go w rękę i mówi:

— Dopraszam się łaski pana dziedzica, czy pan dziedzic widział w Rzymie Ojca świętego?

— Widziałem go dwa razy w bazylice św. Piotra. Raz przechodził tuż obok mnie, drugi raz patrzyłem na niego z daleka, jak go nieśli na krzesło — odpowiedział Multanowski.

— Mój Boże, jakiej też to łaski pan dziedzic dostąpił. Jabym tam nie śmiała podnieść grzesznych oczu na tak świętą osobę. Czy to prawda, że Ojciec św. chodzi cały w złocie, jak nasza Paniątka Częstochowska?

— Jego dwór świeci orderami i złotem łańcuchami, ale sam Ojciec św. nosi skromną białą suknię i płaszczyk szkarłatny.

Gospodyni piła chciwie opowiadanie pana. Dla niej był Papież istotą nadludzką, wiszącą wysoko, gdzieś w błękitach, wśród gwiazd, nad zwykłymi śmiertelnikami.

— To tak wolno patrzeć na Ojca św. każdemu grzesznikowi?—zapytała.

— Wolno każdemu, kogo do niego dopuszczają.

— Ale tylko państwu.

— Ojciec św. przyjmuje i błogosławi wszystkich, bogatych i ubogich, panów i sługi.

Gospodyni kiwała głową, zdumiona. Jej zdawało się, że Papież mieszka w złotej kaplicy, dostępnej tylko dla biskupów, że kłęczy ciągle przed ołtarzem, jarzącym się tysiącami świec, i modli się nieustannie.

— Przywiozłem dla Pytłowskiej różaniec, poświęcony przez Ojca św.

— Jezus!

Radość odjęła staruszce mowę. Pochyliła się do kolan pana i objęła je z niemem podziękowaniem.

Wiadomość o powrocie dziedzica rozniosła się tymczasem po wsi i zepsuła ludziom zabawę. Naj-

więcej przeraził się lokajczyk Jędrrek, który się rozkwaterował w sypialni pańskiej. Dobrze mu było w wygodnym łóżku, ale za tę wygodę zapłaci teraz jego skóra.

Ze spuszczoną głową, wlokąc się, jak cielę, prowadzone na targ na postronku, wracał chłopak z karczmy do domu.

Najchętniej byłby uciekł gdzieś w świat, ale dokąd? Mróz nawróciłby go bardzo prędko. Miał wprowadzić ojca, włodarza, rodzic jednak odprowadziłby go sam za uszy do dworu, a nakładłby mu po drodze tyle twardym rzemieniem, żeby go skóra przynajmniej ze dwa tygodnie swędziła.

Idąc, rozważał Jędrrek, co lepsze: basarunek ojcowy albo pana? Po długim namyśle przyszedł do przekonania, że ręka chłopska jest cięższa od pańskiej i ruszył z fantazją ku dworowi.

— Niechta! Przecie mnie nie zabije. Da mi po pysku, palnie kilka razy w kark i po krzyku. O jej, wielga rzecz. Małom to się nabrał po gębie od pana ojca i po łbie od tego juchy Kuby, co to taki zadzierny, żeby się tylko ciągle bił? A com się wyleżał w pańskim łóżku, tom się wyleżał.

Tak wyrezonowawszy, wszedł Jędrrek odważnie do sypialni. Stanąwszy jednak przed obliczem pana, poczuł, że mu skóra cierpnie.

— Chodź no tu, łobuzie!

Jędrrek posunął się o krok naprzód i przystanął. O jej; pan spojrział na niego z podelbą, jako wilk na barana, którego zamierza pożreć. Mrówki przebiegły po jego grzbiecie. Będzie lanie ..

— Bliżej!

Jędrrek zrobił znów krok naprzód.

— Idziesz zaraz, gałganie?

Przerażony chłopczyzna skoczył, zamknąwszy oczy. Co będzie, to będzie...

Uczuwszy palce pana w swoich włosach, namyślał się: co lepsze, krzyżeć, albo milczeć? Gdyby wrzeszczał, usłyszą te ścierwy dziewuchy w ku-

chni i będą mu urągały. Nie, ani piśnie, choćby mu dziedzic wszystkie kłaki ze łba powydzierał. Zastanie żęby i już.

— Co ci przyszło do głowy spać w mojem łóżku?— odezwał się dziedzic, wytargawszy chłopaka za włosy.

— A bo, proszę jasnie dziedzica, w kredensie szczypał psiakość mróz gorzej obcęgów lodowych—bronił się Jędrak.—Aż dwa palce u prawej nogi odmroziłem sobie jednej nocy.

— Nie mogłeś się to przenieść do kuchni?

— Chciałem, ale mi dziewuchy nie dały.

Ogromne zdziwienie ogarnęło Jędraka, kiedy poczuł, że się palce dziedzica wysuwają z jego włosów. Targnął tylko ze trzy razy, tak sobie, jakby się bawił jego czupryną. Teraz sięgnie pewnikiem po bat, ten zatracony z byczego ogona, co to przylepia się do grzbietu niby pokrzywa, umaczana w smole. Jak Jędrak przemierzył raz tym batem Kuby, to się owczarek tak darł, jakby mu drzazgi wbijano za paznogie, a potem czatował na niego przez dwie niedziele z drągiem, żeby mu żebra połamać. He, he, połamał! Jędrak nie głupi. Dobrze ślepiami rzucał, czy niema gdzie Kuby za jakim drzewem albo krzakiem. Ze mu też nie przyszło do głowy utopić w przereglu ten bat zatracony. Niktby się o tem nie był dowiedział.

Zerknął z pod czoła na ścianę koło pieca; wisiął psiadusza, o jaki długi, cienki, myślałby kto, że niewiniątko — zerknął na pana, rychło wstanie z krzesła i sięgnie po bat.

Dziwo! dziedzic ani podniósł się z krzesła, ani sięgnął po bat, tylko rzekł bez gniewu:

— Żeby mi się to więcej nie powtórzyło. A teraz idź do kuchni i powiedz, żeby mi przyrządzili jaką kolację. Jeżeli nie mają czego lepszego pod ręką, niech zrobią jajecznicę i usmażą kiełbasy.

Zdumienie przykuło Jędraka do miejsca. Byłyby to już koniec? Tylko lekkie wytarganie za ta-

kie przestępstwo? Wylegiwał się w łóżku pańskim przez całe dwa miesiące i za to tylko trzy razy za kudły? Co to się z panem stało za tą granicą? Chyba chory?

— Czyś ogłuchł? Ruszaj, bom głodny!

Jędrak skoczył ku drzwiom. Na dworze pannał sobie hołubca i krzyknął: hu, ha! Już dawno nie było mu tak wesoło na duszy.

Wpadł do kuchni, jak wicher, złapał w pół grubą Kordulę, kucharkę, okręcił ją dokoła, ładną Marysię, pomocnicę kucharki uszczypnął w policzek, za co dostał sójkę w żebra, gospodynię Pytłowską objął za nogi i uniósł w górę.

— Blekotu się napił, czy co? Widzicie go, kręciszysza.

— Blekotu tom się nie napił, bo Jędrak nie głupi, woli buziaka marysinego (Marysia pokazała mu język), ale za to, żem się wylegiwał w łóżku panowem, kiejby jaki król pomacał mnie dziedzic jeno trzy razy po łbie. Cosik stało mu się za tą granicą. A teraz baby dmuchajta co tchu w ogień i warczcie dla dziedzica kolację, a nawarzcicie tyła, żeby i dla mnie starczyło.

I we fraucymerze kuchennym wzbudziła tak lekka kara za tak wielkie przestępstwo zdziwienie.

— Powiadam wam, że to sam Ojciec św. przelewał w serce naszego dziedzica swoją świętą cierpliwość—przekonywała gospodyni kucharkę i Marysię, szukając powodu dziwnej zmiany w usposobieniu porywczego pana.

Nie wiedziały, że Multanowski wrócił do domu szczęśliwy szczęściem miłości, które bywa pobłażliwe dla cudzych win i przebacza chętnie doznane krzywdy.

III.

Ku zdziwieniu Pytłowskiej nie udał się dziedzic nazajutrz na podwórze, do stodół, stajni, obo-

ry i owczarni, co zwykle czynił, gdy wracał z drogi. Zamiast lustrować gospodarstwo, chodził po całym domu, oglądał drzwi, klamki, okna, posadzki, meble, kazał sobie przedstawić srebra, porcelanę, nawet garnki kuchenne obejrzał i policzył.

Zachodziła w głowę gospodyni, medytowały sługi: co by to mogło być? Nigdy się dziedzic nie mieszał do drobiazgów domowych, nie dbał o graty, nie zajmował się garnkami. Gdy się jakie naczynie stłukło, kupił nowe, gdy się drzwi lub okna nie domykały, kazał zawołać kowala, stelmacha i naprawić. Stare domisko, pamiętające jego pradziada, latał, co jakiś czas odświeżał z zewnątrz, stare mebliska, odziedziczone po rodzicach, trzepał, odkurzał przed każdymi świętami, nie dbając o estetykę mieszkania. Pochłonięty cały interesami i gospodarstwem, nie miał czasu myśleć o wygodzie, bez której się jego natura czynna doskonale obydawała. Urządziwszy dla siebie dwa pokoje, sypialny i kancelaryę, zostawił resztę domu na łasce służby.

Teraz dopiero, kiedy miał wprowadzić do swojego gniazda rodzinnego panią, spostrzegł, że dwór różański, przedstawiający się z daleka okazale, był zbliżka starą rozlekatą budą. Zbywało mu na wszystkim. U drzwi nie było ani jednej porządnej klamki, tapety wyblakły, posadzki porysowały się, w piecach popękały kafele, obicia na staroświeckich meblach wypłowiały, odwieczne firanki i portyery, pocięte przez mole, świeciły dziurami.

Czego nie widział kawaler i zajęty ciągle pracownik, niedbający o wygody, to dostrzegł przyszły mąż ukochanej żony, marzący o ciepłym, miłym estetycznym gniazdku dla wybranej towarzyszkii życia. Nie podobna wprowadzić młodej gospodyni do takiej rudery. Trzeba z gruntu cały dom odnowić, oczyścić z kurzu i pleśni lat wielu i urządzić go zupełnie inaczej.

A w wozowni nie było ani jednego przyzwoitego ekwipażu, bo rządny gospodarz wołał płacić

dfugi i kłaść pieniądze w budynki, w ziemię, niż trwonić krwawy grosz na szyk wiejski. Jeździł zwykle bryczką, zimą zaś, kiedy mróz ciął, starem, odwiecznym, zamkniętem pudłem, zwanem niegdyś karetą. Koni cugowych nie trzymał, zadawałając się wierzchowcem i parą dobrych fornalskich klaczy. Teraz trzeba kupić karete, powozik, czwórkę cugantów i sprawić stangretowi i Jędrkowi porządną liberyę, bo cóżby powiedziała młoda żona, gdyby ją chciał wieźć w sąsiedztwo, z wizytami, owem przedpotopowem pudłem, ową arką Noego, która bawiła swoim pękatym kadłubem całą okolicę, na co on nie zwracał uwagi, coby jednak przyszłą panią Multanowską, kobietę, zawsze wrażliwszą od mężczyzny na pozory, mody, komfort i formy, bardzo bolało, upokarzało.

Kiedy Multanowski lustrował dom i wozownię, nie zajrawszy nawet do stodół, gdzie zawzięcie młócono, radziła jego służba w kuchni pod przewodnictwem Pytłowskiej. Gruba Kordula była tak zajęta niezwykłą pracą umysłową, iż nie zauważyła gospodarki Jędrka, który zaglądał do wszystkich garnków, wyciągając z nich brudnymi palcami mięso i kartofle; ładna Marysia słuchała w takim skupieniu domysłów gospodyni, że zapomniała skarcić psotnego chłopaka za ukradzonego całusa porządnym szturchańcem.

Radzono na prawo i lewo, tak i owak: może dziedzic chce sprzedać majątek, albo wydzierżawić, bo skarżył się, że go nadmierna praca fatyguje. Słyszała to nieraz Pytłowska. A może chce wyprawić w zapusty jaki bal dla sąsiadów i wstyd go przed ludźmi, że dwór taki zaniedbany.

— O la Boga, jakie też to baby zawdy głupie! — odezwał się Jędrak, który, najadłszy się uczciwie za plecami rajczyń otarł gębę grzbietem ręki i stanął przezornie w pobliżu drzwi, aby nie oberwać za pyskowanie warząchwią, co go już nieraz spotkało.

— Zamkniesz ty gębę, faflu! — fuknęła Pytłowska — moiściewy, jak to szczenię na pańskim wikcie zhardziało. Nie umiało trzech zliczyć, kiedy się przywlokło do dworu, a teraz toby nawet na samego dziedzica pyskowało, gdyby się nie bało bizunów.

— A no bośta głupie, nieprzymierzając, jak te gęsi, co gęgają po próżnicy, nie wiadomo na co — perorował Jędrak. — Czy pani Pytłowska widziała, co stoi na biurku pana? Kiej otworzyłem walizkę podróżną, leżała na samym wierzchu taka śliczności panna, że aż mi w ślepiach zaświeciło. O jej, całowałbym taką, choćbym wziął za to po plecach onym zatraconym byczym batem. Dziedzic popatrzył na fotografią, jako się patrzy na święty obrazek, a potem włożył śliczną pannę w czarne ramki i postawił ją na biurku. A tera wiecie, mądrale, dlaczego dziedzic taki grzeczny, jak gdyby nigdy nikogo nie pomacał po łbie i po żebrach? Każdego rozbierze, kiej mu ładna dziewczucha da gęby. Myślitą że nie? Jak mnie Marysia grzecznie pocałuje, to mnie taka miękkość łapie za dołszek, żebym nawet tego juchę Kubę uściskał po katolicku, chociaż mi psiadusza nadarł nieraz łba gorzej poganina.

— Pódziesz sobie gałganie! — krzyknęła Marysia, chwytając za garnek z gorącą wodą. — Ino się zbliż, a wyparzę ci ślepie, jako temu szczurowi. Widzicie go, pędraka, jeszcze ma mleko pod nosem, a już rwie się do gęby dziewczuch, niby stateczny parobek.

Nie czekając na wrzący dyngus, uciekł Jędrak co tchu z królestwa Korduli.

Jakiś czas milczała rada kuchenna, wążąc w duszy spostrzeżenia Jędrka. Pierwsza odezwała się Marysia.

— Widzi mi się, pani gospodni, że ten hycel gada sprawiedliwie. Pewnikiem upatrzył sobie dziedzic w obcych krajach jaką galantą pannę, i tylko

patrzeć, jak da na zapowiedzi. Może jeszcze przed zapustami.

— Nowa miotła, nowe porządki — rzekła kucharka Kordula. — Będzie nam ciepło, kiej pani wejdzie w dom. Zawdy lepiej z chłopem. Nakrzyczy, napomstuje i machnie ręką. A pani wścibi wszędzie nos ciekawy, wysłipi zara każdy garnek stłuczony, policzy każdą główkę kapusty, każdy funcik masła i obraza boska: a ty taka owaka, marnujesz mnie, okradasz, jak gdyby dworowi co ubyło, kiej się biedny człowiek pożywi trochę dobrem pańskim. A jużci.

Pytłowska milczała, przerażona nowiną Jędrka.

Było jej tak dobrze na dworze kawalerskim, jak we własnym domu. Pan nie wtrącał się do jej babskiego królestwa. Ona rządziła bezpodzielnie w kurniku, w chlewach i kuchni, ona wydawała ze spiżarni, brała z obory tyle mleka, z ogrodu tyle warzywa i owoców, ile uważała że dwór potrzebuje.

Urywając ze wszystkiego po nieznacznej, nikomu niepodpadającej odrobinie, uciulała sobie przez lat piętnaście spory fundusik na czarną godzinę. Poszewek napełniła sobie taką ilość pierzem z pańskich gęsi, iż starczyłoby poduszek dla dziesięciu rodzin. Często gęsto szły też do Warty, do jej siostry szewcowej, kosze z nabiałem, warzywem, kurczętami i owocami, za co szewczątka ubóstwiały panią ciotkę.

Była sobie panią w Różanie, jak się patrzy. Szanował ją rządcą za kawę ze śmietanką, włodarz, stelmach i kowal za kieliszek nalewki. Co niedziela jeździła bryczką dziedzicową do kościoła i siadała w ławce pod samą amboną razem z panią organistką, kilka razy do roku pozwalał jej pan odwiedzać w Warcie siostrę, nie żałując nigdy koni. Raz nawet podczas ciężkiej zimy odział ją w swoje własne futro, aby się jej nie stała w drodze jaka krzywdą.

Tak przywykła do roli władczyni w dworze rożańskim, iż nie przypuszczała nawet, żeby się to szczęście mogło kiedy skończyć. A tu spada na nią nagle, jak ciężka gałąź na śpiącego zająca, wiadomość o małżeństwie pana i przerywa okrutnie jej sen spokojny.

Srodka strapiona, z głową pochyloną, powlokła się gospodyni do dworu. Musi zobaczyć ona złowróżbną fotografię, sprawdzić własnymi oczami nowinę Jędrka. Może swawolny chłopak skłamał rozmyślnie przez złość, że mu odmówiła suszonych śliwek, o które się wczoraj dopraszał. Po takim urwipołciu można się wszystkiego spodziewać. Pstro ma to jeszcze w głupim łbie; figle go się tylko trzymają.

Nie, Jędrak nie skłamał tym razem. Na biurku, z czarnych, hebanowych ramek uśmiechała się do Pytłowskiej ładna, świeża buzia panny Wandy Wolińskiej. Uśmiechała się szczęśliwie, pozowała bowiem w Neapolu fotografowi już po zaręczynach, ale gospodyni zdawało się, że wyszczerza do niej złe zęby.

Zapatrzona w fotografię, nie zauważyła staruszka, że pan wszedł do pokoju. Dopiero kiedy się odezwał, ocknęła się z przykrej zadumy.

— Czy się Pytłowskiej ta panna podoba? — zapytał Multanowski, na co staruszka wzruszyła niechętnie kościstymi ramionami.

Miało to oznaczać: Wcale mi się niepodoba.

— Niech się Pytłowska temu portretowi dobrze przypatrzy, bo to wasza przyszła pani.

— W imię Ojca i Syna — wyrwało się gospodyni. — Pan dziedzic z przeproszeniem, taki wiekowy i chciałby się żenić? Na co panu dziedzicowi taki kłopot na stare lata? Czy to panu źle samemu w Różanie?

Odruchowy wybuch gospodyni, lękającej się o swoją władzę, rozśmieszył Multanowskiego.

— Nie wiedziałem, że mnie Pytłowska ma już

za dziada, któremu czas już na księżą łękę, zamiast na kobierzec ślubny. Starsi ode mnie żenią się i cieszą się jeszcze licznem potomstwem.

Opatrzyła się staruszka, że w trosce o swoje stanowisko, posunęła się zadaleko. Więc rejterowała niezręcznie.

— Ho, ho, jeszczeby pan dziedzic niejednego młodziaka przeskoczył, ale co kłopot żenić się po czterdziestce, to kłopot.

— Całe życie ludzkie jest jednym, ciągłym kłopotem, moja Pytłowska i dlatego łączą się ludzie w stadła małżeńskie, aby im było lżej na świecie. A teraz proszę mnie zostawić samego, bo mam pilną robotę.

Po wyjściu gospodyni usiadł Multanowski przed biurkiem, wyciął arkusz papieru, ołówek i zaczął liczyć: odnowienie domu tyle, meble, porcelana, srebra, narzędzia kuchenne, kareta, powóz, konie cudzowowe, liberya służby, prezenty ślubne tyle... Kiedy dodał poszczególne liczby i podpisał sumę przeraził się. Miał on w banku trochę zaoszczędzonych pieniędzy, które odłożył na przypadek roku neurodzajnego lub innej, nieprzewidzianej klęski, a prawie całej tej sumy pozbawiały go przygotowania przedślubne.

Oparłszy głowę na dłoniach, pogrążył się w myślach niewesołych. Jako dobry administrator, zdający sobie dokładnie sprawę z warunków rolnictwa, steroryzowanego tak samo, jak wszelka praca wogóle, przez kapitał, wiedział, że majątek ziemski bez funduszu rezerwowego wisi w powietrzu, ulegając bezsilnie suszy i powodzi, gradowi i pożarom. Po oczyszczeniu Różany z długów, odmawiał sobie wszystkich przyjemności lat młodych, aby zabezpieczyć ocaloną ojcowiznę odłożoną gotówką. A teraz miał się pozbyć tej jedynej pomocy, miał złożyć u stóp miłości wszystkie swoje oszczędności. Zbyt długo i zbyt ciężko pracował, aby się mógł zgodzić bez namysłu na tak wielką ofiarę.

Do gromady spłoszonego ptactwa podobne, trzepotały się w jego mózgu myśli niespokojne. Jeżeli małżeństwo jest już przed ślubem tak kosztowne, to jakież troski, jakie wysiłki czekają go po ślubie, gdy przybędą dzieci, a z niemi podwojona służba bony, guwernantki, szkoły? Czy Różana wytrzyma taki ciężar? Na toż pracował przez długi szereg lat w bólu i umartwieniu, aby się dzieło jego życia rozsypało znów w gruzy?

Miałże na schyłku lat dojrzałych rozpocząć na nowo ohydną, męczącą, niepewną walkę o byt? Czy jego siły wytrzymują czekający go trud?

Ciężkie warunki, w jakich się znajdował od lat najmłodszych, nauczyły go arytmetyki i przezorności. Ziemia orna przynosi tyle, łąki, poręba leśna tyle, młyn na rzece, torf.. Za mało na utrzymanie i wychowanie liczniejszej rodziny. On sam miał prawo nazywać się zamożnym ziemianinem, z chwilą jednak, gdy się jego wydatki podwoją przestanie być zamożnym. A podwoją się w małżeństwie, potroją...

Kiedy tak siedział, dręczony myślami niepokojącymi widział przed sobą wyraźnie Kraskiego, jego twarz wystygłą, jego uśmiech drwiący i słyszał jego przestrogi.

Nie byłoby rozumniej, uczciwiej dla panny Wandy, dla niego i dla ich przyszłych dzieci cofnąć się, dopóki czas? Bo rozumnie uczciwym nie jest mężczyzna, który tworzy świadomie rodzinę proletaryuszów. Ona, przystojna, miła dziewczyna znajdzie sobie niewątpliwie bogatego męża, który odsunie od niej brud ubóstwa, jemu zaś, rządmemu gospodarzowi, który dowiódł już, że umie pracować i radzi sobie w najcięższym położeniu, nie odmówi żaden ojciec córki posażnej.

Wszystko to nie przyszło mu do głowy tam, w Neapolu, gdzie mu czar wiecznie młodej przyrody, owianej pleśnią miłosną, rzucił na bystre, krytyczne oczy różową opaskę złudzeń. Dopiero teraz,

kiedy, z dala od uroku narzeczonej, zaczął się zastanawiać spokojnie nad ciężarem, jaki brał na siebie, i dotknął się najbrzydszej rzeczywistości, bo liczb, pieniędzy, ogarnął go lęk przed jutrem.

Pytłowska nazwała go wiekowym. Nie czuł w sobie wprawdzie jeszcze niemocy starości, ale dalekoż mu do jej smutnych progów? Za lat dziesięć, piętnaście nie będzie już mógł usilnie pracować.

Cofnąć się czy dotrzymać danego słowa?

Podniósł głowę..

Z czarnych ramek uśmiechała się do niego narzeczone, ukochana, wybrana, jej oczy patrzyły na niego tak wiernie, tak ufnie, jak patrzy dobre dziecko na dobrą matkę. Miałżeby ją zdradzić, porzucić w chwili, kiedy szła w jego objęcia z całym oddaniem szczerzej miłości? Zegnała go w Neapolu czystymi łzami wiary w jego prawość. Zdrada zdeptałaby w jej sercu niewieścim raz na zawsze biały kwiat wiary w uczciwość męską.

Nie zdradził, nie zawiódł dotychczas nikogo, nie dawał nigdy nikomu słowa podaremnie, nawet w stosunkach z lichwiarzami, którzy zrujnowali jego ojca, a jego samego chcieli pozbawić gniazda rodzowego, przestrzegał terminów z dokładnością zegarka.

Uczciwemu mężczyźnie nie wolno łamać danego słowa, choćby miał za chwilę nierozwagi płacić własnym spokojem.

Zresztą! Może obawia się niepotrzebnie kłopotliwego jutra Kochająca żona dostosuje się bez oporu chętnie do jego położenia materialnego, nie będzie mu przyczyniała rozmyślnie trosk, narażając go na wydatki, któreby przekraczały granice jego możliwości.

Tak przekonywała Multanowskiego miłość, wezwawszy do pomocy uczciwość.

I przekonała go.

— Nie porzucę cię, nie zdradzę—rzekł, obrzucawszy fotografię narzeczonej spojrzeniem rozkochanem.

IX.

Miesiące miodowe...

Wzięli ślub w Warszawie, w kwietniu. W domu, w Różaniu, przyjęła ich wiosna, która pokryła łąki i pola miękkimi, zielonemi kobiercami, las rozdzwoniła śpiewem ptactwa i uperfumowała wonią żywiczną, rzekę zaludniła rojami drobnych, srebrnych rybek. Na progu nowego życia przyjęło ich kwitnące życie, tak świeże, tak bujne, jak gdyby się dopiero po raz pierwszy ukazało na ziemi.

Pieśnią szczęścia i rozkosznych nadziei owiana miłość szła od wsi do wsi, rozsiewając wszędzie swoje kwiaty, uśmiechy i obietnice.

Gdzie przystanąła na chwilę, na mgnienie oka, czarująca uśmiechem kuszącym, tam wytryskiwały z pod jej lekkiej stopy źródła radości.

Nie udali się w podróż poślubną. Gdzież będzie ich miłości wygodniej, milej, niż w starym dworze różańskim, odświeżonym, wystrojonym na przyjęcie pani? W ogrodzie pokryją się wkrótce bzy, jabłonie i grusze białem, różowem i fioletowem kwieciem i rozwonią powietrze słodkim oddechem. Gęste szpalery grabowe zasłoną ich uściski i pocałunki przed ciekawem okiem nieproszonych świadków. Nikt nie będzie podglądał ich pieszczot, nie będzie obrażał ich szczęścia drwiącym uśmiechem.

W zapadłym kącie, w uroczem zaciszu, wcielali najpiękniejszy sen życia ludzkiego, doznawali wrażenia jak gdyby ich życiwe wróżki przeniosły na jakieś inne światy, gdzie kwitnie wieczna wiosna, gdzie całe otoczenie śpiewa bezustanny hymn mi-

łości, gdzie wszystkie istoty żyjące radują się cudzem szczęściem. Uregulowane stosunki majątkowe Różany pozwoliły im na czas pewien zamknąć oczy i uszy na tragikomedję walki o byt, oderwać się od brudnej rzeczywistości i pluskać się bez przeszkody w szumiącym potoku rozkoszy. Pozwy sądowe, komornicy, wierzyciele, troska o jutro, o chleb powszedni nie przerywały im złotego snu miodowych miesięcy. Wszystko za nich robiono, wszystko im podawano, zaspakajano ich potrzeby fizyczne, jak w bajce. Rządca gospodarował w polu, pisarz prowentowy w podwórzu, gajowy w lesie. Pytłowska w kuchni, Jędrak z panną służącą w domu.

Wpatrzeni w swoje oczy, uśmiechy, wsłuchani w swoje pożądania, nie widzieli nic okrom siebie.

Na zapytania i raporty rządcy odpowiadał Multanowski, który rozporządzał zwykle sam zwracając pilną uwagę na każdy szczegół: „Tak, jak zeszłego roku!” Więcej od całego gospodarstwa zajmował go obecnie uścisk żony i jej tkliwy szept miłosny.

Tyle lat, całą młodość i część lat dojrzałych, czekał na ten szczery uścisk i na ten stłumiony szept ust ukochanych. Przeto starał się przeciągnąć złoty sen miodowych miesięcy jaknajdłużej, odsuwając od siebie skwapliwie pospolite zabiegi szarego życia, czuł bowiem, że uroczy sen rozplynie się, jak mgła poranna, z chwilą, gdy go dotkną jaskrawe blaski rzeczywistości. Miłość nie znosi światła, słońca, brutalnej prawny.

Nie bywali nigdzie, nie składali w sąsiedztwie wizyt, nie jeździli do miasta, aby nie zabierać swojemu szczęściu ani jednego dnia. Życie ich zamykało się w ramach pocałunków, uścisków, przechadzek po ogrodzie, po lesie we dwoje, w ramach niezmiennie tych samych, jednostajnych wrażeń, a mi-

mo to zdawało im się każdego rana, gdy się budzili, że całują się, obejmują po raz pierwszy.

Mówili z sobą niewiele.

W boru kołysani cichym poszumem sosen, szli w milczeniu długim duktem, lub przytuleni do stuletniego pnia siedzieli całe godziny.

Wystarczało im, że byli obok siebie że przez wzorzystą kanwę, utkaną z liści, sączyło na nich przyćmione światło i zaglądało niebo błękitne.

Świątynią miłości, zaludnioną dobrymi wróżkami, wydawał im się bór, kiedy pierwsze mroki spływały na niego, gasząc na szczytach sosen i świerków czerwone blaski gasnącego słońca i uroczysta cisza wieczoru stłumiła wszelki gwar życia,

Wówczas garnęli się do siebie, tak sobie oddani, tak pełni miłości, iż wierzyli, że szczęście ich nie zblednie, nie wystygnie nigdy, zawsze świeże, upajające.

X.

Nadszedł lipiec.

Trzeba się było ocucić ze złotego snu miesiący miodowych.

Pola rozbrzmiały szczękiem kos, gwarem żeńców, śpiewem dziewcząt. Kładło się na ziemię dojrzałe żyto, szedł wóz po wozie ze snopami do stodoł, wznosiły się sterty, huczała lokomobila. Komenderował rządca, napędzał do pośpiechu włodarz, lada dzień bowiem lunie deszcz, tak było parno i duszno, któż jednak słucha rządcy i włodarza, kiedy przywykł pracować pod okiem samego pana?

Robota wlokła się leniwo, opieszale.

Spostrzegł to Multanowski, wybraawszy się z żoną spacerem na pole. Dwa razy tyle, ile zwykle, będą go kosztowały żniwa, jeżeli nie przypilnuje

sam kośników. Już i tak zapłacił drogo za szczęście miesiący miodowych. Pijany fornał utopił mu w rzece dwa konie, wspaniałego byka zmarnował mu pastuch, napoiwszy go po młodej koniczynie, w lesie wycieli złodzieje kilkadziesiąt sztuk sosen masztowych, bo gajowy, nie czując nad sobą oka pana, hulał przez całą noc na chrzcinach we wsi sąsiedniej.

Trzeba się było ocucić ze złotego snu miłości.

Ledwie szary świt zajrzał przez serca okienic do pokoju sypialnego, zrywał się Multanowski z posłania; razem ze wschodzącym słońcem siadał na konia i wyruszał z ludźmi w pole. Do południa zajechał dwie szkapy. Był w lesie, na łąkach, przy torfie, do kośników rozrzuconych na całym obszarze Różany, zaglądał po kilka razy. Kiedy wracał na obiad do domu, był tak brudny, zakurzony, ociekły potem, iż musiał się od góry do dołu myć i przebierać.

Wychodziła do niego żona w jasnej sukience, cała różowa, pachnąca. Szczebiotała mu o nowych porządkach, które zarządziła w domu bo i ona, nudząc się bez męża, zaczęła obejmować powoli obowiązki pani, a on był tak znużony, iż nie rozumiał połowy z tego, co mu opowiadała.

Mówiła mu o nieładzie w kuchni, o pajęczynach w spiżarni, o niedbalstwie służby, a on, słuchając jednym uchem tych wszystkich drobiazgów, oglądał się za otomaną, spragniony wypoczynku.

Wieczorem, kiedy się kładł do łóżka po dniu, przepracowanym w skwarze lipcowym, był tak wyczerpany, iż gdyby go nawet sama Wenus obsypała pocałunkami, nie byłby uczuł ich żaru. Ledwie przyłożył głowę do poduszki, zasypiał.

Ani się małżonkowie spostrzegli, kiedy gorące, purpurowe płomienie miesiący miodowych zaczęły stygnąć, blednąć. Mogli się już teraz nie widzieć od rana do południa, od południa do wieczoru,

mówić o sprawach domowych, układać plan wizyt sąsiedzkich. Nieustanne pocałunki i uściski nie były im już konieczne potrzebne do życia. Wulkan miłości, wyrzuciwszy z siebie potoki ognia, uspakajał się, milkł.

Któregoś dnia wrócił Multanowski wieczorem wcześniej, niż zwykle, z polą do domu i zastał żonę zapłakaną. Przerażony łzami, które widział po raz pierwszy w oczach ukochanych, pytał troskliwie, tuląc żonę do piersi:

— Czy spotkała cię jaka przykrość, jaka niespodziewana boleść? Byłaś w wybornym humorze, kiedy wyjeżdżałem po obiedzie do owsa. Może nadszedł telegram, list od mamy, może przeraziła cię wiadomość o jakim nieszczęśliwym przypadku w rodzinie?

A pani Wanda wybuchnęła głośnym płaczem, zawodząc:

— Z tą Pytłowską nie mogę już dłużej wytrzymać. Rządzi się w naszym domu, jakby mnie tu nie było. Trzeba zmienić koniecznie gospodynię.

— Może się do niej uprzedziłaś, Wandeczko. To dobra kobiecina.

— Ach, jaka ja nieszczęśliwa! Własny mąż.. Rzęsiste łzy stłumiły skargę pani Wandy.

— Ależ Wandeczko, Wanduchnu, żonusi moja najmilsza. Jak możesz przypuszczać... Nie płacz, nie męcz siebie i mnie. Jeżeli cię Pytłowska obraziła, opuści jeszcze dziś Różanę.

Wyszedł w celu zbadania przyczyny sporu pomiędzy żoną a gospodynią.

Znalazł Pytłowską w jej pokoiku, obok kredensu, także we łzach. Staruszka siedziała na krześle z głową, opartą na dłoniach, i popłakiwała z cicha.

— Podobno Pytłowska wyprawia jakieś brewerie—odezwał się głosem surowym—Do czego to podobne, żeby taka stara, doświadczona kobieta, jak Pytłowska, siała w domu niezgodę.

— O mój Jezusinku, o Panno Najświętsza, niechby mnie Pan Bóg ciężko skarał, jeżeli czem panią obraziłam—broniła się Pytłowska.

— Bez powodu nie zalewałaby się pani łzami.

— Zaraz widać, że pan dziedzic dopiero niedawno żeniaty, kiedy nie wie, jako naród babski, z przeproszeniem, maże się o byle co.

— O co to poszło?

— O co miało iść? O porządki babskie. Nie podobało się pani, że rondle w kuchni, zamiast stać na półkach, walały się po kątach.

— Bardzo słusznie gniewała się pani na nieporządek w kuchni.

— Ja też nie mówię, o mój Jezu, żeby pani nie miała słuszności. Co sprawiedliwie, to sprawiedliwie. Ale czy to można te zatracone dziewczki nauczyć porządku? Mówi im się i mówi dziesięć, dwadzieścia razy, a one zawsze po swojemu. Tu garnek, tam rondel, miska, ścierki, nieprzymierzając, jak w chlewie.

— Same rądle nie byłyby panią aż do łez rozgniewały. Musiała Pytłowska jeszcze co innego zbroić.

— Cobym miała zbroić, proszę pana dziedzica? Czy ja to dziedziczka Różany, żebym miała w pańskim domu broić? Niepodobaly się pani grzędy w kurniku, mówi tedy do mnie: „Niech Pytłowska każe stelmachowi zrobić nowe grzędy”. Chciałam polecić zaraz do Walentego, ale weszło mi coś innego w drogę i zabaczyłam. No, tak, zabaczyłam; co sprawiedliwie, to sprawiedliwie. A tu przychodzi znów pani trzeciego dnia do kurnika i pyta: „Gdzie są nowe grzędy?” I zaraz: „Pytłowska taka, owaka, lekceważy moje rozporządzenia, rządzi się jako ta szara gęś, co się nie wiadomo zkąd przywlokła”. A dziś, kiedy pani dysponowała obiad na jutro, przysiadłam sobie krzynekę na brzędku krzesła, bo mnie nożyska tak bolały, żem się ledwie na nich mogła utrzymać. Nadrepcą się te

stare nożyska przez cały dzień z dworu do kuchni, z kuchni do piwnicy, z piwnicy do śpichrza, kurnika, ogrodu, to i nie dziw, że mdleją. Pani nie na to nie rzekła, ale spojrzała na mnie z boku tak złem okiem, że zaraz zmiarkowałam, jako nie lubi takiej poufałości. Z przeproszeniem pana dziedzica, pani jeszcze taka młoda, tak niedawno w Różanie, a Pytlowska taka stara i już tyle lat służy panu dziedzicowi, że myślałam...

— Myślała i myśli Pytlowska, że prawa Pytlowskiej w Różanie są starsze od praw młodej pani, zapomniawszy, że żona, młoda czy stara, jest panią w domu męża i tylko ona jedna ma prawo rozkazywać. Musi się Pytlowska tego nauczyć, jeżeli Pytlowskiej chleb różański smakuje.

Multanowski opuścił gospodynię, przekonany, że załagodził spór między nią a żoną, w jego męskiej głowie bowiem nie mogło się pomieścić, aby się ktoś chciał rozchodzić ze starą sługą dla takich drobniostek. Pytlowska zgrzeszyła niewątpliwie, nie stosując się ściśle i niezwłocznie do rozporządzeń pani i wykroczyła przeciw subordynacji, pozwalając sobie w jej obecności na nieproszone poufałości, któryż jednak mężczyzna pozbawiłby dla tak małoważnych przekroczeń oficjalistę chleba i dachu? Chyba jakiś nieznośny, nudny pedant.

Znalazł żonę w jej buduarze na kanapce, jeszcze całą w czarnych chmurach niestrawionego gniewu. Usiadłszy obok niej, wziął jej ręce w swoje i mówił:

— Pytlowska zawiniła w istocie względem ciebie, Wandeczko, mam jednak nadzieję, że się to więcej nie powtórzy. Wytłómaczyłem jej tak wyraźnie stanowisko gospodyni w stosunku do pani domu, iż nie wątpię, że swoją rolę w Różanie w nowych warunkach doskonale zrozumiała. Możesz być odtąd spokojna; już ci ona więcej nie uchybi.

Przekonany, że tem zapewnieniem otarł łzy żony, objął ją i chciał pocałować. Przeto zdziwił

się, gdy pani Wanda odwróciła od niego głowę i odezwała się głosem tak twardym, jakiego dotychczas u niej nigdy nie słyszał:

— Po tem, co zaszło, chcesz zatrzymać w Różanie tę nieznośną, nieposłuszną babę? Wolno ci robić w twoim domu, co ci się podoba, wiedz jednakże, iż noga moja nie postanie odtąd ani w kuchni, ani w kurnikach, ani w oborze.

— Mój dom jest twoim domem, Wandeczko, naszym domem.

— Gdyby twój dom był moim domem, nie lekcewałyby mnie służba.

— Jesteś w Różanie panią bezpodzielną, królową, której każde życzenie zmienia się niezwłocznie w czyn. Nie widzę zgola owego lekceważenia.

— Służba kuchenna nie raczy zwracać uwagi na moje rozporządzenia, gospodyni zapomina się do tego stopnia, że pozwala sobie siadać w mojej obecności, a ty nie widzisz lekceważenia? Naturalnie! dziwić się nie można zachwaleństwu tej hałastry, kiedy ją sam pan bierze w obronę przeciw pani.

— Krzywdzisz mnie, Wandeczko. Nie obniża stanowiska pani domu, kto nie chce dla błahych przyczyn pozbawiać chleba starej sługi. Gdy się uspokoisz po doznanej przykrości, zrozumiesz sama, że wykroczenia Pytlowskiej są tak małe, iż nie warto nawet o nich mówić.

Ku wielkiemu zdumieniu Multanowskiego odpowiedziała żona na jego uśmierzające argumenty burzą wyrzutów, skarg, łkań: Nie kochasz mnie już, przenosisz starą sekutnicę nad żonę, nie dbasz o mój spokój, jesteś niedobry, niesprawiedliwy i t. d. Pierwsza sprzeczka małżeńska...

Có on takiego zawinił, że wywołał taką burzę? Przemawiał spokojnie, logicznie, daleki od myśli uchybienia żonie, bronił starej, słabej kobiety przeciw niesłusznemu gniewowi władzy, przekonywał, prosił. Zkąd w niej, w jego ukochanej Wan-

dzie, ta nagła, niespodziewana zawziętość? Była podczas narzeczeństwa i miesiący miodowych taka łagodna, dobra, uległa. Nad wróbelkiem, który wypadł z gniazdka, litowała się, na zarzynane kurczę nie mogła patrzeć.

Stał wobec zagadki psychologicznej, wobec rebusu, przekraczającego granice jego domyślności. Nic nie rozumiał. Był z natury sam gwałtowny, porywczy, skory do uniesień, gdy mu jednak ktoś coś logicznie przedstawił, wytłómaczył, uspokajał się natychmiast, przyznawał się do błędu, ustępował. Rozumny argument trafiał zawsze do jego przekonania. A jego argumenty, zamiast żonę ukłócić, utulić, podniecały ją jeszcze więcej.

Przypomniawszy sobie, patrząc na podrażnienie żony, wszystko, co czytał w latach ostatnich o naturze kobiety. W nowych książkach mówiono dużo o odmienności duszy niewieściej i męskiej, o przewadze w płci słabej nerwowej, nierozumującej nigdy wrażliwości, zamkniętej dla głosu logiki, podlegającej bez oporu czarowi uczucia. Kobieta jest inna od mężczyzny, i właśnie w tej inności spoczywa jej wdzięk. właśnie tą innością pociąga mężczyznę, dopełniając nią braki jego psychologii. Kobieta posiada swoją własną logikę — logikę serca, nerwów i dlatego bywa często niesprawiedliwą, przykrą bez powodu dla najbliższego otoczenia, mimo miękkości uczuć.

Pierwsza sprzeczka małżeńska była żywą ilustracją wszystkiego, co Multanowski czytał o właściwościach natury niewieściej. Tylko nie rozumująca logicznie wrażliwość mogła wybuchnąć z taką gwałtownością bez poważnej przyczyny do gniewu.

Rozważał, jak się zachować w tem nowem dla niego położeniu. Bolały go łzy żony, budziły w nim litość lży sługi. Żona miała prawo nie tylko do jego miłości i opieki, lecz także do jego pobłażliwości; nawet kaprysy wybranej towarzyszkii życia powinien uwzględnić, o ile nie szkodziły ich wspólnemu

dobru. Wobec sługi zaś obowiązywało go jedynie poczucie sprawiedliwości człowieka uczciwego.

Wybór nie był trudny. Ponieważ lży żony padały ukropem na jego serce, a lży sługi budziły w nim tylko litość dla słabszej, jego woli podległej kreatury, przeto nie wahał się długo.

— Chcesz oddalić koniecznie Pytłowską? — odezwał się po namyśle, przysuwając się do żony.

Pani Wanda milczała. Splótłszy ręce na kolanach, siedziała z głową pochyloną, zadąsana.

— Prawdę powiedziawszy, należy się już Pytłowskiej chleb lżejszy. Stara, niedołężna, nie umie sobie zjednać posłuchu służby.

Pani Wanda podniosła głowę, słuchając uważnie.

— Widzę sam, że się Pytłowska zaniedbuje; spostrzegłem nawet, że w latach ostatnich pamiętała więcej o sobie niż o mojem dobru. Różanie potrzeba gospodyni młodszej, żwawszej, energiczniejszej.

— A tak się opierałeś? — rzekła pani Wanda z wyrzutem w głosie.

— Żal mi trochę starowiny, która spędziła ze mną w pustym domu kawalerskim lat piętnaście...

— Właśnie dlatego trzeba ją oddalić, bo słuźde, która przebyła z kawalerem tyle lat pod jednym dachem, będzie się zawsze zdawało, że ma do pana większe prawa od młodej, świeżej pani. Pytłowska lekceważyłaby mnie zawsze, traktowałaby mnie aż do śmierci jako przybysza. I słuźbę kuchenną trzeba zmienić.

— Pytłowska ma prawo zostać w Różanie do św. Michała, jeżeli jednak jej obecność kole twoje ładne oczy, możesz ją natychmiast oddalić.

— Dziękuję ci, Edmunku — rzekła pani Wanda, już na pół udobruchana.

Nie usunęła ust, kiedy ją mąż pocałował, oddała mu nawet pocałunek, ale tak lekko, chłodno, iż zrobił na nim wrażenie muśnięcia zimnego listka.

Pierwszy pocałunek obowiązkowy...

Jakże on się różnił od tych pieścizot płomienych, które wlewały jeszcze niedawno w jego żyły war pożądania, upajały go, odurzały!

W tej chwili uczuł Multanowski, że się pierwsza część wcielonego poematu miłości już skończyła, że pierwsza sprzeczka małżeńska zwarzyła purpurowy kwiat jego życia.

Tak krótko trwało upojenie... Miałżeby Krański rację, gdy twierdził, że tylko zdobywanie przyszłej żony i miodowe miesiące są rozkoszą w małżeństwie?

Nazajutrz odprawił Pytłowską, osłodzwszy jej niespodziewane rozstanie hojną gratyfikacją za służbę piętnastoletnią.

Wyborny humor żony wynagrodził go za to pierwsze ustępstwo. Kiedy wrócił z pola na obiad, wyszła znów do niego różowa, uśmiechnięta, ucałowała go sama serdecznie, konia jego poklepała po szyi, na sukę nie rozgniewała się, gdy Leda, witając panią po swojemu natarczywymi skokami, powalała jej białą sukienkę brudnymi łapami.

Doświadczywszy na samym sobie odmienności logiki niewieściej, omijał odtąd Multanowski starannie wszelkie drobne nieporozumienia, któreby się mogły stać powodem do przykrych sporów. A tych drobnych nieporozumień musi być dużo na wsi, gdzie się tylu ludzi ociera o dom pański. Oprzątarka nie dopilnowała prosiąt, więc wpadłszy do ogrodu, hulały sobie w grochu, kury rozgrzebały zagon kwiatowy, dziewczka kuchenna stłukła miskę, kucharka spaliła pieczeń, ogrodniczek zrabował krzew porzeczkowy, chłopak kowala złamał kołek w płocie i t. d. Codziennie przychodziła pani Wanda z jakąś skarżą do męża, a on, którego te drobiazgi nic nie ob-

chodziły, udawał, że słucha z wielką uwagą, przyznając wyrokom drakońskim żony zawsze słusność. Skutkiem tych wyroków była zupełna zmiana służby.

Św. Michał wymiółł z dworu różańskiego wszystkich świadków swobody kawalerskiej pana i wprowadził w dom nowych ludzi—ludzi pani. Na pojowisku ostał się tylko jedyny Jędrrek, który, zrozumiawszy po wypędzeniu Pytłowskiej, że w Różanie powiał wiatr inny, umiał sobie pozyskać względy pani, tańcząc przed nią na dwóch łapkach.

XI.

We dworze różańskim rejwach.

Jędrrek lata do kuchni jak opętany, gniewając się na dziewczki, że marudzą z ciepłą wodą, panna służąca częściej panią, nowa gospodyni prasuje na łeb na szyję koronkową chusteczkę.

Państwo jadą dziś na herbatę do Stempowa.

W pokoju swoim ubiera się Multanowski. Już się ogolił, umył, uczesał. Ma włożyć na siebie smoking i nie może znaleźć czarnego krawata.

— Jędrrek!—zawołał, otworzywszy drzwi.

Jędrrek wpadł, jak bomba.

— Słucham jaśnie pana!

— Gdzieś ty mi podział czarny krawat?

Chłopak szuka w szufladkach komody, w szafie, na krzesłach.

— Co ty sobie właściwie myślisz, gałganie?

Od pewnego czasu zachowujesz się, jak gdyby w domu nie było pana. Wszystko w moim pokoju do góry nogami, niczego nie można znaleźć. Wczoraj nie wyczyściłeś mi długich butów, o Ledzie zapomniałeś całkiem, suka musi prosić o strawę w kuchni, niby jaki żebrak, biurka nie otrzepałeś z kurzu od tygodnia.

Jędrzek szuka krawatu po wszystkich kątach i myśli sobie: „Gadaj sobie zdrów, a ja co wiem, to wiem! Wolę być dobrze z panią aniżeli z tobą, bo pani wygania ludzi z domu, a ty tylko pokrzyczysz i zgoda. Do cna skapcaniałeś w świętym stanie małżeńskim. Zabaczyłeś nawet, jak się drze za łeb“.

— Widzę, że trzeba wrócić do bata — mówił Multanowski. — Już cię dawno nie przemierzyłem.

Jędrzek skoczył na równe nogi. O jej! o bacie zabaczył. Pod tym względem był pan mocej- szy od pani, bo gdyby go pani czem przemierzyła, to tak, kiejby mucha poskrobała nóżką. On musi ten zatracony byczy ogon utopić w stawie, aby go więcej nie straszyl. Zrobi to zaraz jutro.

— A bo, proszę jaśnie pana, jaśnie pani cięgiem woła: Jędrzek leć do ogrodu! Jędrzek, skocz do kuchni! Jędrzek, machaj do kowala! — bronił się.

— Pani masz słuchać, bo to twoja pani, ale i o mnie nie wolno ci zapominać. Podaj mi lakierowane kamasz — rzekł Multanowski, kiedy się krawat nareszcie znalazł. — Czy pani już gotowa?

— Gdzieby tam, proszę jaśnie pana! Dopiero jaśnie panią panna Maryanna aligancko czesze.

— Jędrzek! — rozległo się w tej chwili wołanie gospodyni.

Chłopak, pomny groźby, spojrział na pana pytająco: lecieć, czy zostać?

— Możesz iść; nie jesteś mi już potrzebny.

Ubrawszy się, usiadł Multanowski w fotelu i czekał cierpliwie, chociaż cierpliwość nie należała do cnót jego żywego temperamentu.

Żył już z żoną dość długo pod jednym dachem, aby się nauczyć, jak wielkie znaczenie przywiązuje kobieta do swoich ram. Czy jechali z wizytami, do kościoła, lub do miasta, zawsze medytowała pani Wanda przedewszystkiem nad tem, jak się ubrać, czy jej to i owo będzie do twarzy; zawsze

zabierała z sobą lusterko i grzebyczek, obarczając temi drobiazgami jego pamięć.

— Schowaj do kieszeni, bo nie mam gdzie włożyć.

Czekając cierpliwie, aż się żona wystroi, myślał o swoim nowym stosunku do służby.

Przed ślubem był panem absolutnym w domu i w polu, każde jego skinienie stawało się natychmiast czynem, nikomu ze służby nie byłoby przyszło na myśl zaniedbywać go dla kogoś innego, a teraz przestał go się nawet ten hultaj Jędrzek obawiać!

Jakże się to stało?

Mazgajem, pantoflem nie był, rządził majątkiem sam, wglądał znów we wszystko, jak dawniej.

Po owej pierwszej sprzeczce małżeńskiej, która odsłoniła mu jedną z tajemnic duszy niewieściej, szanował rozmyślnie, świadomie drobne drażliwości żony. W sprawach domowych odsyłał służbę zawsze do pani; jak pani postanowi, jak sobie pani życzy! aby się żona uczyła w jego domu u siebie. A służba, nie rozumiejąc pobudek jego postępowania, zaczęła go lekceważyć.

Wspólne pożycie mężczyzny i kobiety, złączonych z sobą dozgonnie, jest sztuką bardzo trudną — błysło mu w głowie — trzeba być doświadczonym psychologiem i posiadać dużo taktu, rozwagi, aby wytworzyć stosunek zgodny, współrzędny, nie zrzekając się przy tem swoich praw naturalnych. W jego położeniu ułatwiała ten stosunek wzajemny obustronna miłość, która łagodziła, ścierała ostre kontury różnic dwóch odmiennych płci. Cóż jednak dziać się musi w stadłach, sklejonych tylko interesem lub konwenansem, kiedy jego, rozkochanego w żonie, zaczęła niepokoić usuwająca się z jego rąk władza? Bo uważał, że nawet żona, przywiązana do niego niewątpliwie, zwracała coraz mniej uwagi na jego upodobania i nawyknięcia, myśląc przedewszystkiem o sobie.

Byłażby zupełna współrzędność odmiennych płci niedościęgnionym ideałem, a ciągła walka o przewagę ich przeznaczeniem? W tych małżeństwach, które znał, widział zawsze jedną stronę podległą drugiej: albo żonę mężowi, albo męża żonie. I rzecz dziwna. Mężczyźni drwili z żony samodzielnej, z „heroda-baby“, kobiety zaś oburzały się na męża energicznego, na „brutala, tyrana“. Ta sama cnota wywoływała sąd rozbieżny.

Coraz wyraźniej rysowały się przed świadomością młodego małżonka różnice obu płci, różnice wrogie sobie, które trzeba umiejętnie omijać, aby potrącone, nie rozbrzmiały przykrym, złodźwiecznym zgrzytem swarów domowych

Drażniło gospodarza, szanującego swój inwentarz, że konie stały już od godziny przed kuchnią, szarpiąc się w zaprzęgu, mimo to jednak czekał cierpliwie. Tak łatwo wybucha we wspólnem życiu dwojga ludzi z błahych powodów burza gniewu, która ich oddala od siebie, zaostrzając różnicę temperamentów. Drobną iskra, rzucona, na materiał podatny, roznieca pożar.

W końcu jednak znudziło Multanowskiego marudzenie żony. Udał się do jej pokoju, aby ją przyzaglić do pośpiechu.

— Wandeczko, bo się spóźnimy. Narowscy prosili na siódmą — rzekł, spostrzegłszy, że żona jest dopiero w gorsecie i w różowej jedwabnej halce, obramowanej czarnymi koronkami.

— Chciałem cię właśnie kazać prosić, bo nie wiem doprawdy, którą suknię włożyć — mówiła pani Wanda. — Poradź mi, Edmundku, ty masz tyle gustu; wszystko, co mi sam kupiłeś w Warszawie, wybrałeś zawsze z wielkim smakiem.

— Ależ wszystko jedno, co na siebie włożysz — rzekł Multanowski lekko podrażnionym głosem. — Cokolwiek byś na siebie włożyła, będziesz zawsze ładniejszą od naszych sąsiadek.

— W twoich Kochających oczach.

— Zawsze te gałganki.

— Tylko się zaraz nie gniewaj, mój panie a władco. Rozumie się, że gałganki i błyskotki odgrywają w życiu kobiety rolę bardzo ważną czego się mój pan tyran powinien już być nauczyć. Zobaczysz, z jaką drapieżnością rzucą się na mnie spojrzenia sąsiadek, niby kobuzy, spadające na kuropatewki: a jaką ma suknię, a u kogo, gdzie robiona, a czy modna, a jakie biżuterje? Ty sam nie byłbyś kontent, gdyby twoja żonusia wyglądała, jak parafianka z głuchej prowincyi. No, poradź, męzusiu złoty, Kochany — mówiła pani Wanda, popierając swoją prośbę uściskiem białych, okrągłych ramion i pocałunkiem świeżych, różowych ust.

— W tej kremowej, etaminowej sukni i w czarnym kapeluszu jest ci zawsze bardzo dobrze.

— A do tego jasne buciki, prawda? Naszyjnik koralowy, ten śliczny neapolitański i szafirowe kolczyki? Szkoda, że nie mam brylantów. Lubię najwięcej brylanty. Jak mój mężus zgarnie za pszeniczkę i za buraczki moc pieniążków, zafunduje mi *dormeuse'y*. Prawda? No, powiedz, że tak.

Znów ciepły uścisk i serdeczny buziak.

— Dobrze, dobrze, tylko się ubieraj, bo już siódma dochodzi.

— Będę gotowa za dziesięć minut.

Mąż przyszedł do żony z zamiarem zrobienia jej wymówki za to, że się tak długo guzdrze, możliweż jednak gniewać się na żonę całującą? Zresztą, guzdrała się jego matka — pamiętał, jak się ojciec irytował zawsze przed każdym wyjazdem na swoją Zosięnkę — guzdrały się jego ciotki, kuzynki, wszystkie, słowem, kobiety jakie znał. Nawet stara Pytlowska, wybierając się do kościoła, do miasta, potrzebowała do upiękшення swojego szkieletu trzy razy więcej czasu od niego. Guzdranie należy widocznie do właściwości natury niewieściej.

Przypatrując się ubieraniu żony, pojął mąż, że nie mogła się spieszyć. Tyle było wstażek do

związania, haftek do zapięcia, włosów do uporządkowania. Podziwiał cierpliwość, z jaką panna służąca opinała panią. On byłby był porozrywał stannik, spódnicę, cisnął do wszystkich dyabłów gałgan, któryby go tak nudził. Jeden kołnierzyk, nie chcący się odrazu zapiać, doprowadzał go do wściekłości.

Nareszcie... Pani Wanda włożyła na głowę czarny, jedwabny kapelus, ozdobiony białymi piórami. Spojrzała długo, uważnie, badawczo w lustro. Było to spojrzenie wodza, który robi ostatni przegląd wojska przed rozpoczęciem bitwy.

Przegląd wypadł pomyślnie, pani Multanowska bowiem uśmiechnęła się z zadowoleniem do swojej urodziwej, hożej postaci, odbitej w zwierciadle.

— Mój mężuś kontent ze swojej żonusi. Kocha mnie jeszcze trochę, troszeczkę?—szczebiotała, podając Multanowskiemu usta do pocałowania.

— Kocham, ale jedźmy już, bo naprawdę ostatni czas—rzekł Multanowski, zupełnie udobruchany.—O północy nie można jechać na herbatkę sąsiedzka.

Kareta zajechała, młode ogniste konie podrzuciły łbami. Jędrak włożył ostrożnie na ramiona pani białe, pluszowy płaszcz, zatrzasnął drzwiczki, skoczył na koziele. Ruszyli.

W Stempowie, oddalonym o siedem wiorst od Różany, zebrało się już całe, najbliższe sąsiedztwo. Byli młodzi, weseli Lutońscy, bawiciele okolicy, byli zawsze poprawni, światowi Romowscy, nie starzy jeszcze Gościńscy, ale już tak sobą znudzeni, iż robili wrazenie stuletniego małżeństwa, byli Trojańscy, on „szlagon“ barczysty, wąsaty, opalony, zdrowy, ona szczupła, suche, blade chucherko, było kilka panien—córci Gościńskich i Trojańskich.

Panią Multanowską przyjął na progu gospodarz. Sam rozebrał ją z płaszcza i podał jej ramię.

Podniosły się panie z kanapy, witając młodą sąsiadkę. Wszystkie ustroiły usta w zdawkowo uprzejmy uśmiech, ale pod tą sztuczną uprzejmością towarzyską, syczał wąż niechęci. Od pani Multanowskiej biła łuna młodości, świeżej urody, oprawionej w ramy bardzo gustownej toalety, co się nie wszystkim paniom podobało. Bo pani Lutońska, dotychczas najładniejsza w okolicy, zrozumiała z rozpaczą, że będzie odtąd dzieliła hołdy panów z dziedziczką różańską; pani Romowska, wyrocznia mody na prowincyi, wyczuła w eleganckiej sąsiadce groźną rywalkę. A pani Gościńska, matka trzech dorosłych córek, gniewała się na tę „obcą,” że zabrała okolicy najlepszego kawalera. Nie mógł się to Multanowski ożenić z jej Zuzią? W sam raz żona dla niego, gospodarna, pracowita i swoja. Potrzebneż mu było lecieć po żonę aż do Neapolu, kiedy miał pod bokiem, o miedzę, tyle panien na wydaniu? Ale go Pan Bóg za tę lekko-myślność ukarze. Ta „obca,” ta elegancka przybłąda, która napatrzyła się po dalekim świecie różnych zbytków, obrzydzi mu wkrótce spóźnione amory.

Ogrodniczek, przebrany na prędcę za lokajczyka w zadługą dla niego liberyjną kurtkę i zaduże białe rękawiczki, które zostały po jakimś forysiu, obnosił na srebrnej tacy herbatę i kruche ciastka.

Panie, niosąc do ust filiżanki, lustrowały z ostrożną ciekawością z pod czoła toaletę pani Wandy, od uczesania głowy począwszy, aż do buciaków.

Nie zabawiający się dawniej taką drobiazgową obserwacją Multanowski, pochwylił teraz spojrzenia krytyczne, badawcze pań i zrozumiał, dlaczego jego żona przywiązywała tyle wagi do toalety. Była kobietą, znała naturę swojej płci i nie chciała być inną od wszystkich.

Gawędkę salonową zagaiła pani Romowska

żargonem polsko-francuskim, którym się stale, jako dama światowa posługiwała. Ponieważ podróżowała niegdyś dużo, przeto było jej miło popisać się przed świeżą wojażerką swoją znajomością geografii. Wypytywała panią Wandę, czy we Florencyi, Rzymie i Neapolu istnieją jeszcze te i owe hotele, czy na tej i tej ulicy mieszka jeszcze fryzjer X, a w teatrach śpiewają jeszcze ci sami tenorowie.

Następnie przesunęła się rozmowa na ostatnie mody zagraniczne, interesujące żywo wszystkie panie.

Rozumny mężczyzna nosi frak, tużurek kilka lat, nigdy nie przyjdzie mu na myśl zajrzeć do żurnalów krawieckich, aby się dowiedzieć, jakie zmiany w kroju wymyśliła moda dla próżniaczych światowców, których całem zajęciem rozbieranie się i przebieranie, najrozumniejsza zaś, najświatlejsza kobieta spaliłaby się ze wstydu, gdyby ją zmuszono pójść na bal, raut, wieczór, do teatru w sukni niemodnej. Co pół roku komponuje jakaś modniarka paryska nową formę rękawów, stanika, spódnicy i cały świat niewieści, na obu półkulach ziemi, od królowej począwszy, aż do szwaczki, ulega bez oporu kaprynowi, często bardzo szpetnemu, owej modniarki. Co było w listopadzie i grudniu ostatnim wyrazem smaku, wykwintu, nowości staje się w marcu i kwietniu bezwartościowym gałganem, przedpotopową starzyzną i tak ciągle w kółko. Gdyby chodziło o najwyższe szczęście doczesne lub o zbawienie duszy, o koronę niebieską, nie zdobyłaby się kobieta na tak jednomyślną zgodę, jak w tem karnem posłuszeństwie dla mody.

Nietylko po głowie Multanowskiego chodziły tak uwłaczające płci niewieściej myśli. Inni także panowie zaczęli się nudzić dysputą o modach. Nieznacznie, jeden po drugim, wynosili się do kancelaryi gospodarza, gdzie czekał na nich zielony stół, zapominając, że kobieta mogła im znów wytknąć idyotyczną zabawę w karty. Nas zajmują

nowe formy rękawów, staników i spódnicy, a was kładzenie asa na króla, króla na damę, damy na waleta. Jeszcze pytanie, które zajęcie jest inteligentniejsze: wasze czy nasze. Na obronę swoją mógłby mężczyzna tylko to jedno odpowiedzieć: I wy, panie dobrodziejki, zasmakowałyście od pewnego czasu w karteczkach. Trudno was oderwać od zielonego stolika.

— Udała ci się twoja magnifika — rzekł rubasznie do Multanowskiego pan Trojański, rozdając karty. — Na schwał kobieta. Po ile gramy? Tylko pilnuj jej dobrze, bo się ten bałamut Lutoński już do niej przysiadł. Po dwie kopiejki, jak zawsze. Bardzo dobrze.

Uwaga „szlagona” ukłóła Multanowskiego w samo serce. W istocie! Lutoński przysiadł się do jego żony i zabawia ją banalnemi komplementami donżuana prowincjonalnego.

— Trefl! — odezwał się znów pan Trojański, — że też temu Lutońskiemu nie nadwyreżył dotychczas jeszcze nikt wątroby celnym strzałem na placu. Zanadto się bestya ludziom w oczy ciska. Pięć trefl! Jakże tam u sąsiada tego roku pszeniczka? — zwrócił się do pana Gościńskiego. — Sypie?

Pan Gościński, zawzięty winciarz, zirytowany, że mu Trojański psuje kombinacje gadaniem, zawołał ze złością:

— Sypie do ciężkiego! Pięć karo!

— Mały w trefl — rzekł Multanowski, który, myśląc o tem, co się dzieje w salonie, nie uważał na licytację i nie przypatrzył się dobrze swoim kartom.

— Mały w karo! — zadeklarował pan Gościński.

— Wielki w trefl!

Karty padały śród milczenia na stół; Multanowski leżał bez pięciu na wielkiego szlema ku wielkiej uciesze pana Gościńskiego, który notował skwapliwie wynik gry, mówiąc:

— To się zapisze, to się zapisze. Więcej takich szlemików, a opłaci się droga do Stempowa.

— Młodemu żonkosiovi prasować spódnice jejmości, zamiast grać w karty—mruzczał Trojański, partner Multanowskiego.

Młody żonkoś grał dziś rzeczywiście, jak gdyby zasiadł po raz pierwszy do winta. Skorzystawszy z wychodnego (grali w pięciu), udał się do salonu, aby się przekonać, co się tam dzieje. Lutoński flirtował z jego żoną, nie zwracając uwagi na złe spojrzenia swojej połowicy.

— Na pana kolej!—odezwał się Multanowski tuż nad uchem Lutońskiego.

Donżuan wiejski, zdziwiony ostrym głosem męża pani Wandy, spojrział mu w oczy, a dostrzegłszy w tych oczach stalowe błyski groźby, podniósł się natychmiast z krzesła.

— Służę w tej chwili, idę — rzekł pośpiesznie.

— Z tym raptusem niema co zadzierać, gotów mi w łeb strzelić—pomyślał sobie, przechodząc do kancelaryi.

A Multanowski, nachyliwszy się do żony, ostrzegął ją półgłosem:

— Nie afiszuj się z Lutońskim, to nałogowy flirciarz i bałamut naszej okolicy; jego uprzejmość kompromituje uczciwą kobietę.

— Przepraszam cię, mężusiu, nie wiedziałam. Będę odtąd tego pana omijała!

— Na wsi nie trudno o plotki uwłaczające.

— Dziękuję ci, Edmundku, będę o tem na przyszość pamiętała.

— Jak on spojrział na tego Lutońskiego—radowało się serce pani Wandy—jest zazdrosny, kocha mnie. A ten flirciarz prowincjonalny, taki pewny siebie w rozmowie z nią, z kobietą, aż przybladł pod groźącym wzrokiem jej męża. Nie odważy się po raz drugi kusić jej niewłaściwymi kom-

plementami. Przyjemnie być żoną człowieka, którego się inni obawiają.

Pani Wanda zrozumiała po raz pierwszy, że jej cześć niewieścia jest bezpieczna pod opieką energicznego męża.

Teraz dopiero spostrzegł Multanowski pannę Ziółkowską. Siedziała na kozetce, wsuniętej wróg salonu, zakryta, jak wachlarzem, liśćmi wielkiej palmy. Obok niej stał młody przystojny brunet który opowiadał jej widocznie coś bardzo wesołego, bo jej szczyry śmiech trzepotał się uradowany, niby ptaszyna w słońcu.

— Któż to taki? — zapytał Multanowski Narowskiego.

— To mój nowy rządca, człowiek pracowity, zdolny i dobrze wychowany — odrzekł Narowski. — Bardzobym pragnął, żeby się ci oboje pobrali, bo mi żal tej ładnej dziewczyny. Miałyby dobrego męża.

— Przecież to feministka, a, o ile wiem, walczą nowoczesne feministki z małżeństwem.

— Amor jest silniejszy od feminizmu. Niech tylko jego złociste skrzydelka załopocą z cicha nad serduszkim dziewczyny, feminizm, szpetny, przemądrzały zrzęda, czmycha, jak niepyszny, pobity sromotnie. Nawet bardzo wysilać nie potrzebuje się ten psotny swawolnik. Wystarczy, że szepnie do uszka panny kilka słodkich słówek, aby się mądrość feministyczna rozleciała, niby kupa pierza, kiedy w nią wiatr dobrze dmuchnie. Jeszcze się mój rządiciel nie zabrał na dobre do panny, a patrz, jak dziewczynina promienieje.

Panna Ziółkowska była w istocie tak cała różowa, tak oprzemieniona szczęśliwym uśmiechem, iż robiła wrażenie róży, rozkwitającej w blaskach słońca.

Na progu salonu ukazał się lokaj, oznajmiając kolację.

Oboje państwo Narowscy byli u siebie bardzo

gościnni. Co tylko mieli najlepszego w spiżarni i w piwnicy, pojawiło się na stole. Sam pan pełnił z wielką uwagą obowiązki gospodarza. Jego czujne oczy chodziły ciągle po sali stołowej, nadzorując ruchy służby, zaglądając do każdego kieliszka, czy pełny.

Goście zabawiali się zrazu głosem przytłumionym zwykłą, mieszaną gawędką wiejską o zbiorach tegorocznych, o ostatniem polowaniu, o polityce, o literaturze. Co kto wiedział, umiał, wydobywał z siebie, aby uprzyjemnić sąsiadce wieczór w Stempowie. Rozmowa stała się dopiero ogólną, kiedy pan Romowski poruszył sprawę mającego się zawiązać w powiecie Towarzystwa rolniczego. Sprawa ta zajmowała wszystkich oprócz pani Wandy, która nie rozumiała nic z tego, o czem mówiono. Głaskało tylko bardzo mile jej dumę kochającej żony, że jej mąż zabierał głos najczęściej i że go wszyscy z uwagą słuchali. Nawet pan Romowski, luminarz z okolicy, potakiwał jego wykładowi. Musiał być doskonałym rolnikiem i administratorem majątku, kiedy mu nie przeczesano.

Było już dobrze po północy, kiedy Multanowscy wracali do domu. Konie niosły kareteę przez widmowe blaski księżycowe, prychając z cicha, zadowolone. Wiedziały, że czeka je pod własnym dachem pełny żłób doskonałego owsa.

— Czy widziałeś, jakie prześliczne solitery miała pani Romowska w uszach? — mówiła pani Wanda, tuląc się ruchem rozpieszczonej kotki do ramienia męża.

Nie widział. Cóż go mogły obchodzić solitery pani Romowskiej? Ale obchodziło go bardzo, że jego żona wdychała dziś już po raz drugi do brylantów, których jej tego roku nie mógł kupić bez zaciągnięcia długu.

Jak jej to wytłómaczyć?

Mężczyznęby przekonał, gdyby mu logicznie, sucho przedstawił, że go przygotowania przedślubne

i sprawunki poślubne pozbawiły całego funduszu rezerwowego, kobieta jednak obrazilaby się taką odmową. Wymawiasz mi pieniądze, wydane z mojego powodu, jesteś niezadowolony, żalujesz i t. d. Potem łzy, łkania, zły humor...

Znał już na tyle duszę niewieścią, iż wiedział, że nie można się odwoływać do jej logiki, do rozumu.

Nie mówił dotychczas z żoną nigdy o interesach, o pieniądzach, o swoim położeniu materialnem, nie chcąc pierwszych miesięcy małżeństwa zbrukać szarym prochem powszedniego życia. A jednak trzeba ją nareszcie wtajemniczyć w te wszystkie niemiłe sprawy, oddziaływające stanowczo na dolę i niedolę człowieka. Była jego żoną, jego dozgonym towarzyszem i powinna znać dokładnie stan jego majątku, ich majątku, aby się do jego rozmiarów mogła zastosować.

Przygarnął ją do siebie, pocałował i mówił głosem miękkiem:

— Wandeczka kocha swojego mężusia?

Odpowiedziała mu pocałunkiem.

— Dobra, kochająca żonusia nie chciałaby patrzeć na niepokój, na zmartwienie, na troskę męża?

— Edmundku!

— Bo mąż i żona to jedna dusza, jedno serce w dwóch ciałach, to jedna myśl o wspólnej przyszłości, to dwaj wierni przyjaciele, którzy sobie nawzajem ustępują, aby im było dobrze razem.

Prawda! On pozbył się dla niej, dla jej spokoju, starej służby, do której był przywiązany, chociaż jego natura samodzielna nie lubiła nikomu ustępować. Słyszała przecież, jak stanowczo wydawał rozkazy rządcy i służbie folwarcznej, nie znojąc najmniejszego oporu. On kupił dla niej kareteę, powóz, chociaż jeździł sam bryczką. Kiedy go interesy wezwały do Warszawy, pamiętał tylko o niej. Przywiózł jej mnóstwo ładnych drobiazgów

toaletowych, ciesząc się jej radością. A dla siebie nie sprawił nic.

— Jesteś dobry, Edmundku — szepnęła pani Wanda, obejmując męża ramieniem.

— Ty wiesz, że zdjąłbym dla ciebie słońce ze sklepienia niebieskiego, gdyby to było możliwe, że nie odmówiłbym ci niczego. Ale nie zawsze można wcielić pragnienia własnego serca, albowiem człowiek zależy od warunków, w jakich go los postawił. Nie jestem tak bogaty, jak ci się może zdaje, nie mogę współzawodniczyć z Romowskimi, nie chcąc się oddać w okrutną, bezlitosną niewolę wierzycieli, którzy mi młode lata obrzydzili. Czy rozumiesz mnie, Wandeczko, żonusi moja najdroższa?

Mąż przemówił do serca żony i serce niewieście pojęło go od razu.

— Niech Pan Bóg broni, żeby cię wierzyciele mieli niepokoić z mojej winy. Twój spokój jest moim spokojem, twoje szczęście—mojem szczęściem. Nie będę cię już nigdy prosiła o błyskotki, albowiem wiem, że ucieszysz niemi sam moje oczy niewieście, jeżeli ci nasze środki na to pozwolą.

Niosły rączy konie karetę przez widmowe błaski księżycowe, prychają z cicha, a w tej karecie tulił mąż po raz pierwszy do piersi żonę—przyjaciela, który składał na ołtarzu wspólnego szczęścia swoje osobiste słabotki.

Żona-kochanka rozwinęła się, dojrzwawszy, w żonę towarzysza, biorącego na siebie bez oporu, z radością część wspólnej doli i niedoli.

II.

Pierwsze dziecko!

Na tę niezwykłą uroczystość rodzinną zjechała do Różany pani Wolińska, przywiozłszy z sobą

jakąś daleką kuzynkę, wysoką, chudą, sztywną, zawsze czarno ubraną wdowę po profesorze.

Bardzo się Multanowski ucieszył świekrze, rozumiał bowiem, że jego żonie będzie przyjemnie mieć w chwili ciężkiej przy boku swoim własną rodzicielkę, która niedoświadczonej, młodej matce może służyć dobrą radą. I poważną panią Suławską przyjął z całą uprzejmością polskiego dworu. Sam urządził dla pań pokoje na piętrze, i przykazał służbie surowo, aby pamiętała o potrzebach i wygodach gości.

Przyszędł na świat syn.

Kiedy ojciec usłyszał z drugiego pokoju pierwszy krzyk dziecka, porwał w objęcia teściową, i wcałował jej tłuste policzki aż do czerwoności, a kiedy mu lekarz, po którego sam jeździł do Warty, oznajmił, że ma syna, zawołał: „Chwała Bogu, nie nadarmo pracowałem, będzie komu po mnie dziedziczyć”.

W pokoju sypialnym, na białych batystach spoczywała pani Wanda bez ruchu, wyczerpana cierpieniem, które ją torturowało przez godzin kilkanaście. Była tak bezsilna, iż nie mogła ust otworzyć, dobyć głosu. Ale na jej bladej twarzy promieniły duże, szafirowe oczy, podkrążone fioletowymi obwódkami, wielką radością szczęścia, bo obok niej, spowita w pieluszki, leżała drobna istotka, jej miłości owoc, jej życia cel najwyższy.

Mąż nie rzekł nic. Nachylił się tylko do białej, obwisłej ręki żony i przywarł do niej usta, spalone wzruszeniem nerwowem.

Ledwie miał czas spojrzeć na dziecko, które leżało z zamkniętymi oczkami, z czerwonymi piąstkami przy buzi, kiedy mu kazano opuścić pokój sypialny.

— Nie trzeba męczyć chorej. Niech wypocznie—pouczała go pani Wolińska.

Wyszedł posłuszny.

Odtąd zmienił się cały porządek w domu. Żo-

na, matka, kuzynka, akuszerka, niania były zajęte dzieckiem od rana do nocy. Nawet niewieścia służba kuchenna pozwalała sobie co jakiś czas zaglądać do „paniczyka”, podziwiając jego urodę, której jeszcze wcale nie widać nie było.

Pan domu przestał istnieć i zmienił się w niewygodny sprzęt, który popychano, gdzie się komu podobało. Kiedy wracał do domu z pola w ciężkich butach, lub stuknął głośniejsz drzwiami, zaraz ukazywał się ktoś z niewieściego dworu przyszłego dziedzica Różany i syczał na niego: sssss, ciiiicho, dziecko śpi. Kiedy krzyknął z okna na rządca lub włodarza, wzywając ich do siebie, wybiegała świekra z palcem na ustach: „Edmundzie, zmiłuj się, wystraszysz dziecko...”.

Żywy w ruchach Multanowski nauczył się chodzić bez szelestu na palcach, zdejmować ciężkie buty, a kłaść lekkie w przedśionku, mówić głosem przyciszonym. Z pokoju sypialnego przeniósł się do kancelaryi, gdzie sypiał na twardej otomianie, oddawszy swój materac sprężynowy pani świekrze.

Poddał się bez oporu tej zmianie położenia, rozumiał bowiem, że drobną dziecinę trzeba otoczyć miękkim puchem troskliwej opieki. Widział zresztą, że nie tylko on sam płacił za radość ojcowską ofiarą ze swoich nawyknień i upodobań. I młoda matka, która lubiła wizyty w sąsiedztwie, spaceru powozikiem do miasta musiała się dla dziecka wyrzec wszelkich przyjemności. Karmiła sama synka, wzywana co trzy godziny do małego łóżeczka, nie mogła się ruszyć krokiem z domu, przytroczona do miejsca ciężkim łańcuchem obowiązku. Nie miała, biedna, ani chwili spokoju. Zaledwie się wieczorem trochę zdrzemnęła, budził ją krzyk dziecka, które płakało nieraz po kilka godzin. Wówczas wolały przerażone panie ojca: „Staś chory, Staś umiera, ślij po doktora!” Multanowski kazał co temu zaprzęgać, pędzić na złamanie karku do Warty po lekarza.

Doktór, kolega szkolny Multanowskiego, przybywszy do Różany po raz dwudziesty i zbadawszy Stasia, wziął ojca na stronę i w te do niego przemówił słowa:

— Dziecko jest zdrowe; nic mu nie zagraża. Krzyczy, bo każde dziecko krzyczy w pierwszych miesiącach swojego rozwoju. Wszystko taką odrobinę, ulepioną z galarety, jeszcze boli, i powietrze i dotknięcie twardszej ręki, głównie zaś zbyt tłusty pokarm. Wystarczy wysmarować brzuszec ciepłą oliwą i przyłożyć okład z waty, aby się uspokoiło. Gdybyśmy nie byli kolegami szkolnymi, zapisywałbym nieszkodliwe mikstury, brał sute honorarya, nie wtajemniczając cię w arkana mądrości lekarskiej. Przyjaciela jednak z ław gimnazjalnych nie chcę wyzyskiwać. Wiem przecież, że ci majątek nie przyszedł łatwo.

Kiedy Staś zaalarmował znów w kilka dni potem wrzaskiem przeraźliwym cały dom, usiłował Multanowski przekonać matkę i babkę, że doktor jest zbyt cenny.

Panie w płacz.

— Nie kochasz rodzzonego dziecka, żałujesz kilku rubli dla syna; jeżeli umrze, spadnie jego śmierć na twoje sumienie - lamentowała pani Wołńska.

Więc leciał stangret, jak opętany, do Warty i przywiózł doktora.

Gdy Multanowski opowiedział koledze scenę, która go zmusiła do posłania po niego, wrzucił lekarz ramionami, mówiąc:

— Takie one wszystkie. Dziecko odbiera im przytomność, rozum, zmienia je w groźne lwice. Męź za zrujnują bez namysłu dla takiego fafla. Ta bezrozumna miłość macierzyńska jest ich największą siłą i największą cnotą.

— Zkąd ten Kraski znał tak dobrze psychologię niewieścia? — myślał nieraz Multanowski, patrząc na troskliwą miłość, jaką młoda matka ota-

czała dziecinę. Nie szczydziła ona dla niej żadnych trudów, noc i dzień czuwała przy małym łóžeczku, nie skarżąc się na znużenie, sama spowijała, kąpała synka, nie ufając służbie.

On, mężczyzna, przywykł do wysiłków fizycznych i umysłowych, czuł się po trzech miesiącach ustawicznego krzyku dzieciniego, trwogi, bieganiny tak wyczerpany i ogłupiały tą wrzawą, iż zachorował po raz pierwszy w życiu na rozstrój nerwowy. A ona, słaba kobieta, nie zahartowana w ogniu pracy i walki o byt, znosiła ten nużący trud lekko, z radością. Z jakim szczęściem wpatrywała się młoda matka w nieforemną jeszcze twarzyczkę dziecka, śledziła jego nieudolne ruchy? Chłopak albo spał, albo spał, albo wrzeszczał, nudny, niezdolny, a matka dostrzegała w nim ciągle jakieś błyski duszy, inteligencji, zachwycona, dumna.

Któregoś dnia wkołysała się do kancelaryi pani Wolińska, cała czerwona ze wzruszenia.

— Chodź, śpiesz się!—nagliła zięcia.

— Cóż się stało?

— Nie pytaj, zobaczysz sam.

Babka, matka, kuzynka, niania stały dokoła łóžeczka, w którym Staś, rozkopawszy się z pieluch, tikał nóżkami.

Uśmiechnął się—potwierdziła babka.

— O, moja kruszyna, moje śliczności, moja słodka jagódka—roztkliwiła się niania.

Multanowski patrzył na tę radość zdziwionymi oczyma analfabety, gapiącego się na elementarz. Uśmiechnął się.. Więc cóż? Dzieciak skrzywił trochę buzię, pokazał bezzębne dżąsła i z tego powodu taka uciecha?

— Ach, ci mężczyźni! — oburzała się pani Wolińska, nie widząc w oczach zięcia odblasku powszechnego zachwytu.—Nieczułe kloce, niezdolni egoiści...

Innym razem przybiegła do niego sama żona, promienna, szczęśliwa.

— Jaki Staś mądry! Spiesz się, bo nie zobaczysz.

Dzieciak, rozgrzebawszy się znów z pieluszek, przypatrywał się swoim rączkom z poważną miną astronoma, śledzącego bieg gwiazd.

Babka aż głową kiwała nad mądrością wnuka, niania całowała Stasia w różowe nóżki.

Codziennie odkrywały panie w dziecku jakieś nowe cnoty mądrości, i kazały je ojcu podziwiać, a ojciec podziwiał, nie chcąc obrazić serca matki, po cichu jednak myślał sobie: dobrze znał Kraski psychologię płci niewieściej, kiedy mówił, że jedynym, szczerem ukochaniem kobiety jest dziecko, i że rola Amora kończy się w małżeństwie z chwilą, gdy u piersi młodej matki zakwili pierwsze maleństwo.

Podziwiał nie studia poglądowe Stasia, rozpoczynające się od badania własnych rączek, lecz mądrość natury, która wyposażyła słabą kobietę w niezwykłą siłę fizyczną i w cierpliwość, potrzebne do urodzenia, wykarmienia i odchowania dziecka. Drobną, wątłą, nieudolną kreaturą zmarniałaby bez opieki matki.

I podziwiał mądrość natury, która ustroiła miłość płciową w najcieplejsze barwy złudzeń, uniesień, zachwyków, aby zmusić człowieka do małżeństwa, do tworzenia nowego, młodego życia.

Nie miał żalu do żony za to, iż go zaniedbywała dla dziecka, bo cóż ona temu winna, że instynkt macierzyński był w niej silniejszy od instynktu miłości?

Była mu dobrą żoną. O ile na to dziecko pozwalała, pamiętała o jego potrzebach, o jego wygodzie, nadzorowała służbę, aby panu na niczem nie zbywało, brała żywy udział w jego pracy. W każdym jej spojrzeniu, w każdym słowie, w każdej pieśszczocie czuł tego najwierniejszego przyjaciela mężczyzny, który go dopełnia tkiwością, miękkością

uczuc, idzie za nim aż do trumny i nie zapomina o nim po śmierci.

XIII.

Minęły trzy lata.

We dworze różańskim przybyło drugie dziecko, malutka Zosia, a Staś rozwinał się tymczasem w ładnego chłopczyka. Wziąwszy po ojcu okrągłą czaszkę i suche, rzeźbione rysy, a po matce duże, szafirowe oczy, wdzięki w różowych policzkach i bujne, jasne włosy, które spadały mu w puklach na ramiona, przypominał portrety dziecięce Greuze'a.

Zachwycała się nim cała okolica. Panie nie mogły się dość nacałować ślicznego dziecka, podawały je sobie z rąk do rąk, obsypywały je cukierkami, zabawkami.

Psuły chłopca sąsiadki, psuły go: babka, matka, niania, służba, nazywając aniołkiem.

A Staś był aniołkiem z różkami Psotnik, samowolny, hałaśliwy, gospodarował w całym domu, jak gdyby oprócz niego nie było nikogo we dworze różańskim. Z taczka, z drewnianym konikiem, z grzechotką, z trąbką biegał po wszystkich pokojach, robiąc wrzawę za dziesięciu chłopczyków.

— Cicho! — napominała wówczas matka. — Nie można tak hałasować.

— O la Boga z takim dzieckiem — lamentowała niania, pożerając wzrokiem rozkochanym swawolnego urwisa.

Ale Staś robił sobie niewiele z napomnień matki i z lamentów niani, wiedział bowiem z doświadczenia, że ten pozorny gniew nie pociągał za sobą dotkliwej kary. Co najwyżej oberwał czasem lekkiego klapsa, po którym uważał za właściwe uderzyć w żaloszny płacz, tłumiony czempredzej czokoladką, cukierkiem, ciastkiem i pocałunkiem: mat-

tki, babki, niani, pani Suławskiej, kucharki, podkucharki, panny służącej i wszelkiej innej kreatury niewieściej.

Gdy się zanadto rozbrykał, straszono go ojcem: Powiem tatusiowi, zawołam tatusia!

Groźba ta skutkowała natychmiast. Bo kiedy ojciec dał klapsa, śwędziła Stasia skórka, raz nawet postawił go tatuś w kąciku, czego dziecina nie mogła zapomnieć. Od tego czasu bał się rodzica, jego głosu podniesionego, jego surowego spojżenia. Wystarczało, gdy ktoś zawołał: „Tatuś idzie!” żeby się Staś uspokoił.

Mimo tej obawy przed ojcem miał szczególnie upodobanie do psocenia właśnie w jego pokoju.

Kiedy go zostawiono na chwilę bez nadzoru, dyrdzał w te pędy na małych nóżkach do kancelaryi, wdrapywał się na fotel, nakładał na koniec noska binokle ojca i udawał przez jakiś czas, że czyta gazetę, potem zaczął gospodarować po swojemu. Cygara pokruszył, dzienniki i papiery podarł na strzępy, zapalki rozsypał, pióra i ołówki połamał, atrament wylał na otwartą książkę.

Załatwiwszy się z biurkiem, zszedł z fotelu i robił dalsze studia w szafce, w komodzie, pod oknem, pod piecem wszędzie, gdzie się dało coś wydobyć, rozrzucić, zniszczyć. Tak go ta robota burzyciela istniejącego porządku zajmowała, iż czerwieniał cała, a kiedy go przerażona matka lub niania od niej odrywały, darł się w niebogłosy.

Nie bardzo się ta gospodarka syna podobała Multanowskiemu, ale dzieciak był taki miły, umiał z taką naiwną radością powiedzieć: „Tatusiu, popsulem wsisko!” że trudno się było na niego gniewać. Któżby taką odrobinę karał za niewinną psotę, której znaczenia nawet nie rozumiała? Staś zresztą miał bardzo dobre serduszko. Kiedy spostrzegł w oczach ojca niezadowolenie, całował go w rękę, obejmował za kolana, szczebiocąc: „Juś piespolsilem”. Wówczas kazał Multanowski zrobić Jędrko-

wi w kancelaryi porządek, synka zaś, zamiast ukarać, pogłaskał po główce, myśląc sobie: Jak dorodnie, będzie mądrzejszy.

Któregoś dnia jednak wrócił z lasu podrażniony. Znów mu złodzieje ukradli w nocy kilka sosen, a gajowy, upiwszy się, spał, jak zabity. Zły, zastał w kancelaryi Stasia, który pociął nożyczkami bilans całoroczny, owoc zmuśnej pracy kilku wieczorów.

— Utrapienie z tym nieznośnym bębniem!—zawołał głosem groźnym.

Chłopiec, wyczuwszy instynktem dziecka, że się tym razem nie wykreści „psiepłosieniem”, chciał się salwować ucieczką.

Ale rozgniewany ojciec schwycił go i postawił w kącie.

— Będziesz stał w kącie, żebyś się raz nauczył nie wchodzić do pokoju ojca podczas jego nieobecności.

— Juś nie bende - prosił się Staś.

A kiedy to nie pomogło, zaczął wrzeszczeć, że jego płacz rozpaczliwy zaalarmował cały dom.

Wpadła nasamprzód niania.

— Czy to kto widział...

Chciała pana zasypać zwykłym lamentem niani, różmiłowanej w swoim wychowańcu, ale pan nie był dziś w usposobieniu cierpliwem.

— Nie wtrącaj się do nieswoich rzeczy — fuknął.

A kiedy niania, nie zważając na gniew pana, chciała Stasia uwolnić z więzienia, wziął ją za kark i wypchnął za drzwi.

— Co się tam dzieje, co się tam dzieje—płakała niania.—Sodoma i Gomora, pan katuje Stasia. Druga przydreptała babka.

— Edmundzie, miejże rozum, przecież to twoje dziecko!

— Właśnie, że mam rozum i że to moje dziecko, muszę go ukarać, bo sobie ten smarkacz już

za wiele pozwala. Psujecie go pieścotami, zbytnią pobłażliwością, pozwalacie mu w nierozumnej miłości swojej na wszystko, chowacie go na nieponia, na synka maminego. Czas, żebym ja się nareszcie do niego zabrał.

— Będzie na to dość czasu za pięć lat—przeładała pani Wolińska.

— Za lat pięć nie da sobie z nim nikt rady.

— Puśćże go, widzisz, że cały czerwony; jeszcze wpadnie w konwulsye.

— Nic mu nie będzie, gdy postoi trochę w kącie, a jeżeli nie przestanie beczeć, dostanie w skórę.

— O, mężczyźni, tyrani, okrutnicy, samoluby!

Teraz nadbiegła matka Na widok najwyższej instancyi domowej, od której spodziewał się oswobodzenia, dobył Staś z gardziółka najsilniejszych tonów krzyku dziecięcego. Wrzeszczał, jak gdyby go ze skóry obdzierano, cały siny.

— Dziecko zachoruje — zawołała pani Wanda przerażona.

— Byłby się już był uspokoił, gdybyście nie dolewały swoją przesadną troskliwością oliwy do jego wrzasku—rzekł Multanowski.

— Jeżeli zasłużył na karę, ukarałeś go już dostatecznie. Proszę cię, uwolnij go.

— Niech sobie jeszcze trochę w kąciku postoi, bo gotów myśleć, że można krzykiem wszystkiego dopiąć.

— Proszę cię, puść go! — domagała się pani Wanda natarczywiej, głosem podniesionym.

— Zrozum Wandeczko, że nie mogę uleść twojej woli, jeżeli nie chcę narazić powagi ojcowskiej za niechybne bankructwo.

Ale głos rozumu nie trafił do przekonania matki! Widziała ona tylko dziecko, którego płacz ranił jej serce, szarpał jej wnętrzności. Mąż wydał jej się w tej chwili bezlitosnym tyranem, pastwiącym się nad jej skarbem najdroższym.

Z błyskami gniewu w oczach zawołała:

— Nie wtrącaj się do moich dzieci, to rzecz nie twoja!

Porwawszy Stasia na ręce, wybiegła z kancelaryi, a kiedy ją mąż chciał zatrzymać odepchnęła go z taką siłą, iż się zatoczył.

Gorąca krew żywego temperamentu zakipiała w żyłach Multanowskiego.

Co to było? Zona osmieliła się podnieść rękę na niego, na swojego męża, żywiciela i opiekuna, znieważyla go w obliczu jego dziecka? A uczyniła to z namietnością i siłą kobiety z ludu, której gniewu nie łagodzi kultura domowa i towarzyska. Zachowała się, jak pierwsza lepsza Kaśka, wierząca jedynie w argument pięści.

Przez kilka chwil stał Malinowski, odurzony tem, co się stało. Potem odezwał się w nim człowiek pierwotny, ten odwieczny, drzemiący w tajnikach duszy natur najwykwintniejszych. Słaby gniew wymiottił z jego serca wszelkie uczucia łagodniejsze, egoizm rzucił mu pod nogi księgę jego miłości i pierwszych lat małżeństwa i deptając po niej, urągał:

— Był ci potrzebne pozbywać się dla tak zwanego szczęścia małżeńskiego swojej złotej wolności? Panem byłeś u siebie, kacykiem na swoich czterdziestu włóckach, a małżeństwo strąciło cię z tronu samowładcy, zmieniając cię w niewolnika twoich własnych podwładnych. Jeżeli ci się chciało pieścić niewieścich, mogłeś ich mieć bez nieznośnych pęt prawowitości więcej, aniżeli byś pożądał. Jesteś mężczyzną, dawcą miłości, w której płomienie rzuca się kobieta z upartą głupotą śmy.

Chciewie wsłuchiwał się rozbudzony w Multanowskim człowiek pierwotny w węzowy syk egoizmu. Przed zwierciadłem jego pamięci przesunęły się ostatnie cztery lata.

W istocie... cóż jemu małżeństwo dało? Kilka tygodni bardzo przyjemnego narzeczeństwa, kilka

miesiący bardzo słodkich pieścizot, a potem? Tylko zdwojony trud i rozczarowanie.

Już przy końcu pierwszego roku pożycia małżeńskiego, ułożywszy bilans dochodów i rozchodów, wiedział, że Różana nie starczy na długo, jeżeli nie zaprowadzi oszczędności. Z żoną przybyły mu, oprócz dziecka i doktora, cztery osoby, świekra, kuzynka, panna służąca i niania, które trzeba było nakarmić i przyodzierać. Tak dobrze było pani Wołińskiej i pani Suławskiej w Różanie, iż nie myślały wcale „zostawić samej tej kochanej Wandeczki, która by się bez ich towarzystwa na śmierć zanudziła“. Zabawiały się już czwarty rok kładzeniem pasyansów, rano „Napoleonem“, po obiedzie „Bismarkiem“, wieczorem jakąś inną, niezawodną kombinacją. Od tego ogromnie inteligentnego zajęcia odrywały się na chwilę po kolacyi, kiedy pani Wanda dysponowała obiadem na dzień następny, bacząc, aby na stole znalazło się zawsze jakieś ulubione przez nich danie.

Żeby wyrównać różnicę, powstała w budżecie, zaczął Multanowski oszczędności od siebie. Rządę, pisarza prowentowego i forysia oddalił. Wziąwszy sobie do pomocy dwóch włodarzów, wychowanych w jego szkole, pracował sam w polu i na folwarku. Sam wydawał kowalowi żelazo, pilnując każdego gwoździa, stelmachowi drzewo, sam stał przy wadze na śpichrze.

Toaletę pani pochłaniała wielkie mnóstwo korcy żyta. Na swoją garderobę wydał w przeciągu lat czterech zaledwie kilkadziesiąt rubli, posługując się resztkami z czasów kawalerskich, żonie zaś sprawił tyle różnych gałganków, iż mogłaby była założyć z nich w Warcie sklep „konfekcyi damskich“. Nawet o owych upragnionych przez nią brylantach nie zapomniał. Kiedy mu się zeszłego roku buraki obrodziły, uświetnił jej imieniny wspańkami *dormeuse*'ami.

Wszystko, co posiadał — swoją pracę, wiedzę agronomiczną, zdolności administracyjne, swój czas

i majątek, oddawał żonie i jej otoczeniu, a za to? Zabroniono mu się wtrącać do wychowania „jej” dzieci, znieważono go.

Taki głuchy gniew wicherzył w duszy Multanowskiego, iż wybiegł z domu, czuł bowiem, że gdyby jego żona stanęła w tej chwili przed nim, obeszłby się z nią brutalnie. Dosiadłszy konia, runął w pole na łeb, na szyję. Smagana batem, kłóta ostrogami klacz, rozděła chraby i szła, jak wicher jesienny, strasząc ludzi pd drodze.

— Panno Najświętsza, klacz ponosi — szeptali chłopi.

Biedne konisko pędziło bez pamięci, a kiedy mu sił nie stało, zwolniło same w biegu, drżąc na całym ciele.

Byli w lesie.

Lekko szumiały sosny. Uroczysta cisza boru objęła wzburzoną duszę Multanowskiego miękkim uściskiem, kołyszając ją łagodnie, jak chorą dziecięcę

— Uspokój się, uspokój!...

Krew spływała powoli z jego mózgu, czarne chmury ślepego gniewu rzedniały na jego czole. Jak wszystkie temperamenty żywe, nie miał on w sobie zawziętości, nie umiał długo nienawidzić.

Teraz przemawiał do jego świadomości człowiek drugi, wychowaniec kultury szeregu pokoleń — rozumny, pobłażliwy, uwzględniający cudze słabości.

— Co nazywasz zniewagą, było tylko naturalnym odruchem matki, broniącej słabej dziecińcy. Któż ma stawać w obronie takiej nieudolnej istotki, jeżeli nie matka, która ją w bólu i trwodze na świat wydała i własną piersią wykarmiła? Twoja natura mężka znużyła się już po trzech miesiącach czuwania nad niemowlęciem, a jej natura niewieścia wytrzymuje cierpliwie całe lata. Zrozum, że miłość matki, wymagająca ofiar, musi być silniejszą od miłości kochanki. Skarżysz się na to, że musisz się dla żony i dzieci wyrzec samego siebie, zapominając, że oddajesz tylko stary, święty dług, albowiem

i twój ojciec stracił wolność osobistą z chwilą, gdy ty zakwiliłeś w kołysce. Nic darmo na tym świecie, za wszystko trzeba płacić, a najdrożej za miłość! Byłeś szczęśliwy w miłości, przeto płac za tę najwyższą rozkosz życia. Zresztą — nie obawiaj się. Z chwilą, gdy dzieci podrosną, ustanie sama przez się zbyt troskliwa opieka matki, a tobie zostanie żona, najlepszy przyjaciel mężczyzny.

Wolno wracał Multanowski do domu.

Prawda... Cóż w tem zdrożnego, że matka nie mogła znieść widoku płaczącego dziecka, że użyła siły, broniąc słabego przeciw mocnemu? I jego zastawiała niegdyś matuś kochana przed porywczoscią gwałtownego ojca, za co dotychczas jej pamięć wdzięcznie błogosławi.

Obrażony mąż zaczął rozważać spokojnie, w czem mu jego wrodzona dobroć i uczciwość skwapliwie pomagały.

Żona uniosła, zapomniała się? Ale i on unosi się czasami bez rozumnego powodu, czego zawsze, gdy ochłonął z pierwszego gniewu, żałował, starając się naprawić wyrządzoną krzywdę. Pożycie dwojga ludzi, ocierających się ciągle o siebie, nie może być jednostajnie różowem, człowiek bowiem nie jest bezwolną maszyną. Wpływają na niego: stan zdrowia, taka lub inna pogoda, troski, zmartwienia i ten cały szereg ciągłych zmian, z których się życie ludzkie składa. Sztuka zgodnego pożycia małżeńskiego polega na wzajemnych ustępstwach, na wzajemnej pobłażliwości. Któż rozumny będzie się rozamiętniał drobnem zajściem? Bo to, co się stało, nie zasługiwało właściwie wcale na wybuch gwałtownego gniewu. Dzieciak psocił; zapewne. Ale psocił już nieraz, nie dwa i nie bywał za to karany. Zkądże Staś mógł wiedzieć, że ojciec wróci dziś do domu, podrażniony kradzieżą leśną? Zawinił gajowy, a on miał za to stać w kącie.

Lekki uśmiech złagodził twardy dotychczas wy-

raz ust Multanowskiego, a z tym uśmiechem spłynęła z jego serca reszta żółci.

Już ochłonął z gniewu.

Jak ten chłopak wrzeszczał. Mądra kruszyna. Wie, że krzyk jest jego bronią najskuteczniejszą. A matka zgromiła ojca wściekłym spojrzeniem podrażnionej lwicy i palnęła go w żebra z siłą dziewki od widel i cebra. Nigdyby się po niej nie był spodziewał takiej krzepkości w pięści. Miłość matczyńska, potężniejsza od jej woli, wlała w jej ramię moc niezwykłą. Jak to dobrze, że dzieci mają matkę. Nigdyby się ojciec nie zdobył na tyle cierpliwości i dobroci, jak matka.

Nie ulega wątpliwości, że małżeństwo odjęło mu swobodę ruchów i zabierało mu cały owoc jego pracy, zostawiając dla niego niewiele, resztki, ale i żonę spętało obowiązkami, często bardzo przykre, których jako panna nie знаła. Za ofiarę jednak z wolności osobistej wynagradzało go ciepłą atmosferą własnego ogniska i rozdzwoniło pusty dawniej, chłodny dom różański szczebiotem dzieci. Niejedną godzinę rozkoszną zawdzięczał temu psotnikowi Stasiowi, bawiąc się z nim tak wesoło, jak gdyby był sam chłopcem trzyletnim. Wczoraj uczył go mustry i pękał ze śmiechu, kiedy dzieciak na komendę: „Do ataku, marsz!” zniżył laskę i zmusił odważnym atakiem panią Wolińską do sromotnej rejterady.

Im więcej zbliżał się do domu, tem więcej żałował niemądrego gniewu, który wydobyl z jego duszy złodźwieczne tony egoizmu.

Egoizm jest szpetnym, jednostronnym, bezpłodnym krytykiem. Nie stwarza on nic, zdradza w końcu nawet samoluba, omijającego skwapliwie wszelką ofiarę ze swoich osobistych nawyknień, zachcianek i wygódek. Kto nie umie okiełznać egoistycznych instynktów pierwotnego człowieka hamulcem obowiązku, ten powinien się odciąć od gromady uspołecznionej i żyć życiem samotnika.

Już zupełnie ukojony, wszedł Multanowski do

swojej kancelaryi, gdzie zastał żonę. Siedziała w jego kawalerskim fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach. Płakała. I ona żałowała swojej gwałtowności.

Mąż zbliżył się do żony, podniósł ją z fotelu, objął ramieniem.

Nie przepaszali się słowami. On całował jej jasne włosy, ona tuliła się do jego piersi, jak niegdyś, w pierwszych tygodniach po ślubie. Wstydziła się brutalnego wybuchu i była wdzięczna mężowi, że oszczędza jej miłość własną, nie karząc je zasłużonemi wyrzutami. Nie rozumiała sama, jak mogła się do tego stopnia zapomnieć. Ale Staś jeszcze taki mały, tak bardzo potrzebuje opieki matki.. Ująwszy rękę męża, podniosła ją do ust.

— Taki jesteś dobry, kochany, mój—szepnęła.

Nie mówili z sobą nigdy o przykrem zajściu. Sama pani Wanda czuwała odtąd nad bezpieczeństwem kancelaryi męża, zamykając ją na klucz, kiedy Multanowski wychodził z domu. Lękała się powtórzenia nieprzyjemnej sceny. Nawet kiedy ojciec postawił znów kiedyś małego psotnika za jakieś przewinienie w kącie, panowała nad swojemi nerwami, zachowała się spokojnie, chociaż płacz dziecka smagał ją biczem rozpalonym.

XIV.

Wiosna!

Nieśmiertelna czarodziejka pomalowała pola świeżą zielenią! Jak daleko sięgało oko, falowało morze oziminy, rozkołysane lekko pod miękkim dotknięciem łagodnego wietrzyku.

Miedzą, pomiędzy dwoma szlakami żyta szedł Multanowski z żoną. Przed rodzicami biegł sześciolatek już Staś. Rzucił słomkowy kapelusz, który mu zawadzał i pędził za pokojowemi pieskami matki, które dawały co chwila nurka na prawo, na lewo, tonąc w lesie oziminy. Nic nie pomagały nawoływa-

nia: Staś, Stasieczek, Żolka, Fifi! Staś, Żolka i Fifi pluskali się w życie, jak rybki w jeziorze.

Radość dziecka i piesków bolała serce gospodarza i myśliwego. Buciki dziecka niszczyły plon jego pracy, wesołe naszczekiwania piesków płoszyły zwierzyne. Ale Staś był jego synem pierworodnym, Żolka zaś i Fifi ulubieńcami pani. Niech Pan Bóg broni dotknąć któregokolwiek z nich. Zarazby zmierzchna ładna buzia pani Wandy. Niech sobie więc używają.

Multanowski rozglądał się dokoła uważnym okiem znawcy. Takie świeże, wonne tchnienie szło nad polami, tak czyste błękitne niebo spoglądało z góry na radosny obraz młodego życia, tyle dobroczynnego ciepła lało się potokami z promienistego słońca, iż zdawało się, że niema w takich jasnych ramach miejsca na myśli kłopotliwe. Cieszyć się tylko życiem i kochać!

Ale rozumny wzrok Multanowskiego nie zachwycał się cudami wiosennego krajobrazu. Gospodarz badał urodzaje tegoroczne i obliczał ich wartość, zmieniając spodziewany plon na prozaiczną mamonę.

Mąż i ojciec nie miał ani ochoty, ani czasu do rozkoszowania się poezją natury. Zajmowała go tylko praktyczna strona wiosny, pół rozfalowanych ozimina, obiecujących bogate żniwa.

Od owego czasu, kiedy mu się w Neapolu zdawało, że wyzwolił się nareszcie raz na zawsze z klezczów ohydnej walki o byt, przybyły mu: żona, troje dzieci, matka żony, jej krewna, bona Stasia, niania najmłodszego Tadzia, liczniejsza służba w kuchni i stajni, stosunki towarzyskie — wielka góra nieznaných kawalerowi obowiązków. Bo całe to pełne gniazdo otwierało dzioby, wołając od rana do wieczora: Dawaj jeść!

Dawał, karmił, przyodziewał, myśląc ciągle nad tem, zkąd wziąć środki na zaspokojenie potrzeb rodziny i jej otoczenia. Więcej, niż dawniej, za-

trwały go teraz burza, grady, susze, ulewy, pożary, które mogły zniszczyć owoc jego energii i pracowitości i oddać go znów w niewolę lichwy.

Kiedy się rozglądał dokoła, lustrując urodzaje, doleciał go z drogi głos trąbki pocztowej.

— Czyżby do nas? — odezwała się pani Wanda.

— Może ktoś do Narowskich. W Stempowie bywają często goście z Warszawy.

Zbliżyli się do drogi.

Z lasu wyjeżdżał jakiś stary, trajkocący powozik, który skręcił na groblę różańską.

— Do nas! Ciekawość, kto to taki?

Kiedy się powozik z nimi zrównał, zawołał Multanowski zdziwiony:

— Rodryg! Naprawdę, Rodryg!

Hrabia Kraski stał przed nim, całował ręce pani, ścisnął Multanowskiego.

— A ty zkąd? Z Chin, Japonii, Australii? Jakże dobrze, żeś sobie nas przypomniął.

— Tylko z Warszawy — odpowiedział Kraski. — Jakaś ciotunia, której prawie wcale nie znałem, przeniosła się z takim impetem na drugi świat, iż nie zdążyła rozporządzić swoim majątkiem. Byłaby go niewątpliwie zapisała kościołowi, kalekom, nieuleczalnym i różnym innym pokrakom, bo pędziła ostatnie lata życia w dewocyi, obawiając się jednak, mimo pobożnego wdychania do Królestwa Niebieskiego, śmierci, zwlekała z testamentem, dzięki czemu spadła mi na głowę zgoła niespodziewanie cała fura mamony.

— Winszujemy szczerze miłej niespodzianki — rzekła pani Wanda.

— Byłaby jeszcze miłsza, gdyby była przyszła trochę wcześniej. W moim wieku tracą duże pieniądze wartość, zwłaszcza, gdy się już przywykło do skromnych warunków życia. Załatwiwszy się w Warszawie z formalnościami spadkowemi, chcia-

łem zobaczyć, co się też z państwem dzieje? I oto jestem.

Nadbiegł Staś w podskokach. Ujrawszy ślicznego chłopca, rzekł Kraski.

— Fiu, fiu, arcydzieło papusia i mamusi. Ten unieszczęśliwi kiedyś cały legion kochliwych serc niewieścich.

Ucałowawszy główkę Stasia, zapytał:

— Będiesz kochał wujaszka Rodzia, mały łobuzku?

— A gdzie wujaszek Rodzio? — zaświergotał chłopczyzna, oglądający ciekawie paltot Kraskiego.

— Stoi przed tobą. Czego mi się tak przypatrujesz?

— Ech, taki wujaszek. Nic mi nie przywiózł, kieszenie puste.

— Stasieczku, jak można, to niegrzecznie — strofowała matka synka.

Kraski roześmiał się.

— Oto pierwotny człowiek! Urodzony, szczerzy egoista, jak wszystkie dzieci, których wychowanie nie nauczyło jeszcze obłudy. Jego dewizą: Dawaj, abym dał. Kieszenie puste, mój ty mały filozofie, ale wolant pełny. Konika ci przywiozłem i szabelkę i czapkę ulańską i fuzyjkę. A teraz będziesz mnie kochał?

Staś nie miał czasu na odpowiedź. Zajmował go teraz tylko wolant, w którym ukrywały się owe przywiezione dla niego śliczności. Ze zwinnością wiewiórki wdrapał się na kozieł i usiadł okok pocztyliona.

— Jedźmy prędko! — naglił.

Było mu śpieszno zobaczyć konika drewnianego, szabelkę i fuzyjkę.

Państwo Multanowscy wracali ze swoim gościem pieszo do domu. Krzyżowały się owe szybkie, urywane, bezładne pytania i odpowiedzi dawnych znajomych, dobrych przyjaciół, którzy, spot-

kawszy się niespodziewanie po kilku latach, mają sobie tyle do powiedzenia, iż nie wiedzą, od czego zacząć.

Opowiadając, rzucał Kraski od czasu do czasu z pod czoła badawcze spojrzenia na przyjaciela. Siwizna zacierała już naturalny kolor włosów i wąsów Multanowskiego, jego twarz postarzyło widoczne znużenie, ruchy straciły dawną młodzieńczą sprężystość. Dziadzieję wół roboczy — pomyślał — spracował się, żre go płomień troski. Ale za to bije od jego żony łuna zdrowia i zadowolenia.

We dworze przyjęła ich wrzawa rozbawionych dzieci.

Już służba rozpakowała pod komendą Stasia przywiezione podarki. Staś, ubrany w czapkę ulańską, atakował z drewnianego konia blaszaną szabelką ołowianych żołnierzy, których dwuletni Tazio ustawiał na posadzce, Zosia obcałowywała dużą lalkę z prawdziwymi włosami. W chwili, kiedy rodzice wchodzili do pokoju dziecinnego, proponował Staś rozpróc brzuch lalki nożem kuchennym i rozbić jej główkę o piec, żeby zobaczyć, co „tam w środku”, przeciw czemu protestowała Zosia głośnym płaczem. Kilka czekoladek i admonicya matki w formie lekkiego klapsa, zaaplikowana Stasiowi, utuliła jej rozpacz.

— A widzisz, dostałeś w skórę, urwipołciu — żartował Kraski.

— Ech, jakie tam w skórę, nic nie boli — odparł Staś zuchowato.

Tyle ładnych, jasnych wspomnień z Włoch łączyło Multanowskich z gościem, iż przepędzili razem dzień bardzo miły.

Kiedy przyjaciele znaleźli się po kolacyi bez świadków w pokoju gościnnym, rzekł Kraski:

— Powiem ci teraz, dlaczego do was przyjechałem. Chciałem się na własne oczy przekonać, czy mój horoskop, postawiony ci niegdyś w Neapo-

lu, był prawdziwy. Zdaje się, że się nie myliłem, wróżąc wam obojgu przyszłość szczęśliwą.

— O ile to zależy odemnie i od mojej żony, nie myliłeś się w istocie — odpowiedział Multanowski. — Nauczyliśmy się sobie nawzajem ustępować i dobrze nam teraz razem.

— Więc bywało źle? Przepraszam cię za niegrzeczną ciekawość, ale łączy nas tak dawna przyjaźń, że możemy być względem siebie niegrzecznie ciekawi.

— Źle nie bywało właściwie nigdy, sceny gwałtowne, przykre, nie stargały ani razu brutalnie złotej nici naszego zgodnego życia, serca nasze jednak mogłyby się były od siebie oddalić, gdybym nie był umiał panować nad sobą, zrozumiałwszy odrazu różnicę między naturą męską, a żeńską. Bo psychologie mężczyzny i kobiety nie mają z sobą nic wspólnego, są zgoła różne, inne, co widzi się dopiero w pożyciu wspólnym, blizkiem. Cała sztuka, aby tę różnicę pochwycić i zastosować się do niej, wzięwszy do pomocy dobroć serca i wyrozumiałość.

— Tak, dobroć serca i wyrozumiałość — mówił Kraski — egoizm jednak ludzki bywa rzadko dobrym i wyrozumiałym.

— Bardzo dobrze uczyłeś mnie w Neapolu, że największem, może jedynem ukochaniem kobiety jest dziecko, że instynkt macierzyński tłumi w niej wszystkie inne, co się, naturalnie, egoizmowi mężczyzny i egoizmowi miłości nie może podobać. Z przykrością spostrzega mąż, gdy pierwsza dziecina zakwili u piersi młodej matki, że schodzi w domu na drugi plan, że był tylko narzędziem do spełnienia misji kobiety. Zrozumiałwszy jednak tę konieczność, tak potężną, jak prawa natury, więc silniejszą od woli człowieka, godzi się z nowym położeniem. Zamiast kochanki staje obok niego matka jego dziecka, najbliższy, najszczęśliwszy przyjaciel, złączony z nim

wspólnym celem wychowania wspólnego potomstwa. Kochająca matka nie może być wrogiem ojca swoich dzieci, choćby dlatego, że nieprzyjaźń rodziców pozbawia dziecko naturalnego opiekuna i bardzo często żywiciela. Tylko kobieta zła, przewrotna, albo chorobliwie zmysłowa poświęci dziecko dla swoich kaprysów lub pożądlivości.

— Bywają jednak kobiety złe, przewrotne i chorobliwie zmysłowe, jak bywają mężczyźni brutalni, samolubni, rozpustni, albo choćby tylko zanadto kochający swobodę, aby się chcieli poddać drugiej woli — wtrącił Kraski. — Ja np. należę do ostatniej kategorii i czułbym się zawsze pokrzywdzonym, gdybym się musiał liczyć z gustami, kaprysami, pojęciami kogoś drugiego, któryby miał prawo do mojego serca. Bo przyznasz, że nie wszystko, co robi najlepsza żona podoba się najlepszemu mężowi.

— I odwrotnie, mój ty niepoprawny sceptyku — mówił Multanowski. — Psychologia mężczyzny i kobiety jest tak wręcz inna, rozbieżna, iż odmienne ich gusty, kaprysy i pojęcia muszą się od czasu do czasu wrogo spotkać, uderzyć na siebie z błyskawicami w oczach. Naszym drogowskazem jest rozum, kierownikiem zaś kobiety serce, my rządymy się logiką, ona uczuciem, my jesteśmy odważni, ona wrażliwa, my obliczamy, ona zapala się do każdego blasku, do błyskotki nawet, my szanujemy obowiązek, ona kocha. Natury tak różne muszą się przez pewien czas ścierać, zanim się zestroją do zgodnego pożycia, lecz gdy się z sobą zestroją, wówczas wiedzą, że jedno dopełnia drugie, że dopiero razem wzięte stanowią całość skończoną. Bo powiedz, czemu byłby mężczyzna bez serca kobiety, a kobieta bez rozumu mężczyzny?

— Znam dużo żon, rozumniejszych od mężów — wtrącił znów Kraski swoim suchym głosem zblazowanego *viveura*.

— O wyjątkach nie mówię.

— Więc zdaniem twojem?

— Zdaniem mojem można być w małżeństwie szczęśliwym.

— Jeżeli?

— Jeżeli się nie jest egoistą, złym, dziwakiem lub rozpustnikiem, jeżeli się umie i chce wyrzec pewnej części swoich osobistych gustów, kaprysów i pojęć dla szczęścia drugiej połowy małżeńskiej.

— Słowem, jeżeli się jest dobrym, uczciwym i rozumnym, a ponieważ dobrych, uczciwych i rozumnych spotyka się rzadko na tej ziemi, przeto wolę nie ryzykować na stare lata — rzekł Kraski — na czem twoje dzieci wyjdą bardzo dobrze, bo nie zapomnę o nich w testamencie. Nie dziękuj, nie zapomnę o nich bo tak mi się podoba, każdy zaś ma prawo rozporządzać swoim majątkiem tak, jak mu się podoba. Wyliczyłeś mnóstwo „jeżeli”, zapomniawszy o jednym, bardzo ważnym. Dopełnię twojej charakterystyki dobrego małżeństwa. I jeżeli zbyt ciężka walka o byt, gorzka troska o chleb powszedni nie szarpie serca męża i ojca, nie mogącego zaspokoić potrzeb, życzeń, pragnień żony i dzieci. Ubóstwo nie było nigdy wiernym towarzyszem miłości.

Multanowski milczał.

— Napracowałeś się, Edmundzie, natroskałeś się, troskasz się z każdym rokiem więcej? Prawda? — mówił Kraski głosem innym, niz zwykle, miękkim głosem przyjaźni. — Drogo płacisz za szczęście w małżeństwie? Nie przecz! Siwe włosy i zmęczony wyraz twarzy zadadzą kłam twoim słowom, gdybyś się chciał zasłonić przed moją domyślnością królewskim płaszczem dumy. Nie masz się czego wstydzić, za każde bowiem szczęście, jakiegokolwiekby ono było, trzeba na tej ziemi płacić drogo, w ten lub inny sposób. Nic za darmo.

Milczał chwilę. Potem dodał jeszcze:

— Pamiętaj, że los wysypał na mnie niespodziewanie taką furę mamony, iż nie wiem naprawdę, co z tem śmieciem począć. Bardzobym się obraził, gdybyś w razie potrzeby zapomniał o mnie. Będziesz miał zawsze mój adres, żebyś wiedział, gdzie mnie szukać.

Warszawa, w kwietniu 1905 roku.

K O N I E C.



253058